MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVIII. Nr. 18 WARSZAWA, 24 KWIETNIA 1938 R. CENA NUMERU 80 GR.

BRAK FRANCJI

W CHWILI ukończenia wojny najpotężniejszym państwem na kontynencie europejskim była Francja. Naród francuski największą odegrał rolę w zwycięstwie koalicji antyniemieckiej. Żołnierz francuski wykazał wszystkie dawne zalety, dowództwo stanęło na wysokości zadania. Społeczeństwo dało dowód wielkiej karności i zdolności do najwyższego wysiłku.

Po wojnie Francja mogła, posiadając najsilniejszą armię decydować o biegu polityki europejskiej i rzeczywiście przez czas pewien decydowała.

Dziś dzieją się wielkie rzeczy na naszym kontynencie, a Francji właściwie niema w polityce europejskiej. Jakież tego przyczyny? Jakie z tego wyniki?

Jeśli się zastanowić nad przyczynami upadku znaczenia politycznego Francji, to wypada przede wszystkim stwierdzić, że niema żadnych koniecznych powodów tego upadku. Francja jest bogata, bogactwo jej jest dość równomiernie podzielone. Ustrój społeczny Francji jest zdrowy — bo jest ona krajem, w którym przeważa warstwa drobnych rolników, a robotnicy w przemyśle nie są ani zbyt nagromadzeni, ani też skupieni w wielkich tylko przedsiębiorstwach, gleba jest urodzajna i wydaje dostateczną ilość produktów na wyżywienie mieszkańców. Armia jest dobrze zaopatrzona i posiada znakomite dowództwo. Naród francuski posiada starą i bogatą kulturę, dawne tradycje wojskowe i umiejętność organizowania spraw zbiorowych. Jeśli tedy dodać stosunki społeczne, gospodarcze i kulturalne we Francji, to się dochodzi do wniosku, że jest to państwo, które powinno zajmować w życiu Europy poważne i wpływowe stanowisko.

A jednak tak nie jest! Dlaczego? Dlatego — można odpowiedzieć, że Francja posiada zły ustrój polityczny i ma złą politykę zarówno wewnętrzną jak i zewnętrzną.

Stan dzisiejszy Francji jest logicznym wynikiem Rewolucji, króra niesłusznie nosi nazwę Wielkiej i Francuskiej, rewolucji, która zniszczyła gwałtownie dawny ustrój, monarchię, która dała Francji potęgę i wielkość, która usunęła nie tylko przeżytki społeczne i polityczne, lecz jednocześnie zniszczyła wszelkie zdrowe podstawy życia zbiorowego, wysuwając jednostkę ponad zbiorowość, a interesy materialne ponad duchowe.

Przez cały wiek XIX trwała walka spadkobierców duchowych Rewolucji o pełne zwycięstwo ich zasad. Zostało ono ostatecznie odniesione pod koniec wieku przy okazji sprawy Dreyfusa, przez przewrót, który Georges Sorel słusznie nazwał Rewolucją Dreyfusowską. Sprawa Dreyfusa była tylko pretekstem. W istocie chodziło o zepchnięcie armii na drugi plan i na usunięcie od wpływu wszystkiego, co było jeszcze z pozostałości dawnego *regime*'u.

Od r. 1897 rządzi już we Francji bez konkurencji obóz radykalny, który w drugim łat dziesiątku naszego wieku podzielił się dopiero władzą z socjalistami, a pod koniec czwartego sprzymierzył się z komunistami.

Wyniki rządów opartych na ideologii sprzecznej ze wskazaniami rozumu i doświadczeniem wieków gromadziły się w ciągu dziesięcioleci. Wydawało się przez czas jakiś, że doświadczenia wojenne skłonią społeczeństwo francuskie do nawrócenia z błędnej drogi. Nadzieja ta zawiodła. W tym, co się dzieje od dwóch lat nagromadzenie błędów doszło do najwyższego stopnia. Wystarczy zsumować rezultat rządów p. Bluma. W dziedzinie wewnętrznej — ruina gospodarcza i finansowa. W dziedzinie zewnętrznej — utrata pozycji na terenie międzynarodowym, niepewność nie jednej tylko granicy — na Renie — jak dawniej, lecz trzech granic — na Renie, w Alpach i w Pirenejach.

Francja — trzeba to stwierdzić z całym naciskiem — weszła w okres kryzysu ustrojowego, który może przezwyciężyć tylko bardzo radykalnemi reformami, albo też na drodze rewolucyjnej.

Nie ulega dla mnie wątpliwości, że po rewolucjach włoskiej, niemieckiej, portugalskiej i t. d. przyszła teraz kolej na rewolucję francuską. Biorąc pod uwagę ducha czasu i przeszłość narodu francuskiego, trzeba dojść do wniosku, że będzie to rewolucja narodowa, a nie komunistyczna. Bo tylko takie dwie są już dziś alternatywy!

Kto jest sprawcą upadku politycznego Francji? Nie wahamy się ani chwili, ażeby odpowiedzieć— wolnomularstwo!

Bo od stulecia zgórą ma wolnomularstwo wielki wpływ we Francji a od Rewolucji Dreyfusowskiej rządzi niepodzielnie. Stanowi ono konieczne uzupełnienie ustroju republikańskiego; jest „elitą" rządzącą krajem; bez niego nie byłyby możliwe rządy Demokracji (tej przez duże D). Upadek polityczny Francji jest też bijącym w oczy dowodem ubóstwa i błędów doktryny politycznej masonów, a życie publiczne we Francji dowodem rozkładowych wpływów na społeczeństwo i jego moralność. To też zagadnieniem istotnem, jeśli chodzi o przyszłość Francji jest to, czy sekta będzie odsunięta od rządów. Dopóki to nie nastąpi, nie może się zmienić zasadniczo nic ani w życiu tego kraju, ani w jego pozycji w Europie. Zmiana osób niema tu decydującego znaczenia, jeśli są one w dalszym ciągu przedstawicielami lóż i ich polityki.

Wynikiem zaś politycznego i moralnego zniszczenia, jakiego sekta dokonała jest utrata pozycji Francji na terenie międzynarodowym. To zaś jest faktem mającym wielką wagę dla polityki europejskiej.

W polityce tej została zburzona równowaga, a przez to rodzą się niebezpieczeństwa wojny. Zburzenie równowagi zaś wychodzi przede wszystkim na korzyść Niemców. Następstwem tego, co dzieje się od lat dwudziestu we Frandji jest odbudowanie sił niemieckich i w wyniku zjednoczenie Niemiec, które stwarza nowe zgoła położenie w Europie.

Osłabienie pozycji Francji jest szczególnie dotkliwe dla polityki polskiej. Uzasadniać tej tezy nie trzeba, boć wszyscy dokładnie wiemy jakie i jak poważne posiadamy wspólne z Francją interesy w Europie.

Powrót Francji do dawnej pozycji wśród państw nowego kontynentu jest możliwy pod jednym tylko warunkiem — dokonania się w tym kraju rewolucji narodowej, która odsunęła by od władzy rządzącą od tylu dziesiątków lat „elitę" masońską i oddania tej władzy obozowi narodowemu.

Czy jest to możliwe? Sądzimy, że tak i że zbliża się chwila stanowczego przełomu. Bo z jednej strony katastrofalne straty zarówno na terenie wewnętrznym, jak i na terenie międzynarodowym wstrząsnęły silnie opinią francuską. A z drudiej strony likwidacja komunizmu i masonerii w Hiszpanii musi oddziałać na rozwój wydarzeń we Francji.

Używając skrótow, można powiedzieć, że koniecznym następstwem zjednoczenia Niemiec i upadku komunistyczno - masońskiej rewolucji w Hiszpanii musi być przełom we Francji.

STANISŁAW KOZICKI

CLIO

(HERODOTOWYCH HISTORYI KSIĘGA PIERWSZA)

HERODOT z Halikarnasu przekłada ninie owoce swoich dociekań, przeto iżby się pamięć zdarzonych rzeczy nie zagubiła w czasie, ani też by wspaniałe i wiekopomne sprawy, porówni Hellenom jako i barbarzyńcom należne, sprawiedliwej nie umknęły chwały, także więc iżby przyczyny wojen, jakie przeciw sobie wiedli, były wiadome.

I. Powiedają dziś z Persów męże najbardziej uczone, jakoby to Fenikowie pierwsi zwadom onym przyczynę dali. Naród wżdy ten od brzegów Erythrejskiego morza przybywszy, nad morzem naszem helleńskiem zaległ, w którym kraju w rzeczy po dziś statecznie siedzi, a wdał się wrychle w żeglarstwo znacznych dalekości, wszelakie rękodzieło z Egiptu a z Assyryej po innych rozwożąc narodziech. Ciże sami Persowie mówią to, iż podczas swojej wyprawy niektórej Fenikowie przybili do Argos, które to Argos pod ten czas było miastem najpoczestniejszem krainy ninie nazywanej Helladą; że zasię tam dnia piątego abo i szóstego od przybycia, kiedy kupia swe rozłożone, a owszem już wszystko bez mała przedane mieli, niewiast mnogo — pośród których Io, tak od Persów jako i Hellenów nazwana, Inachosa króla córka — na brzeg przyszły a do pupy okrętu przybliżywszy się, przebierać a kupować pośród towarów łakome; że wżdy Fenikom oczy ze łbów do tych podwik wylazły, że przeto zagrzawszy się, wskok porwali się na nie; że zatem część niewiast przeważna w pierzchu uciekła, niemniej przeto Io z drugiemi niektóremi dziewkami zabrane na okręt i uwiezione w Egipt.

II. W ten wiera sposób podle Persów, niebardzo przedsię w zgodzie ze świadectwem Hellenów, Io przywieziona do Egiptu i pierwsze zwady poczęte. Powiedają jeszcze, iż to gdy się stało, Hellenowie niektórzy, których imion rzec nie umieją — wiadomo jedno, że byli Kreteńczycy — przyszedłszy do Tyru we Fenicyej, porwali dziewkę królewską Europę. A był to gwałt przeciw gwałtowi, przeto wypadło równo obiem stronom. Jeśliby przecie zawsze tym samym dawać wiarę, Hellenowie nowego dołożywszy gwałtu, zostali za winowajców. Okręt jeden, pociągły, ich nacyi przybił do Aja w Kolchidzie ku brzegom Fazu, ci wżdy co na nim przypłynęli, sprawiwszy się z czem tam mieli, porwali królewnę Medeę. Kolchos — tak zwał się król, — pchnął do Hellady posła, któryby mu prawa szukał i żądał oddania dziewki; przecie mu na to Hellenowie taką replikę dali, iż jako żadnej bywszy odpłaty za królewnę miasta Argos nie dostąpili, żadnej także za Medeę nie dadzą.

III. Powiedają na ostatek Persowie, iż we dwa pokolenia po tem wszystkiem, Aleksander,

Pryamów syn — któżby zasię o nich nie wiedział — wbił sobie w łeb ukraść, aby za żonę pojął, niewiastę helleńską, spodziewając się za przykładem tego, co się było poprzód przydarzyło, iż mu to ujdzie na sucho. Uniósł przeto Helenę, Hellenowie zasię zaraz wysłali posły, którzyby jej wydania i odpłaty należnej pytali. Na skargę swoją wżdy innej odpowiedzi nie wzięli, kromie żałowań znacznych z bywszego raptu Medei. Skoro — tak powiedano im — ni ją wrócić, ni prawa o winnych uczynić nie chcieli, nie przystoi im przeto upominać się tego, czego nie wyrządzili innym.

IV. Pod ten czas przedsię wszystko pomiędzy jednymi a drugimi kończyło się na tem porywaniu niewiast; wrychle przedsię Hellenowie większej złości winowajcami się pokazali jako iż pierwej wojnę Azyi ponieśli a niż ludom azyackim w głowie postało iżby z nią szli na Europę. — Zaprawdę — wszystko mówią Persowie, o których rzekłem — podwiki sobie unosić, jest ci to rzecz przeciw słuszności a pomście należna, niemniej przeto ci, którzy nad miarę trudu sobie szukają aby takowej krzywdy dochodzić i aby owszem na wracanie sobie tych niewiast trzeć, ci wżdy niewiele mają rozumu. Czyliż bo ludzie iście grzeczni tak sobie wielce ważyć mogą niewiasty, któreby wiera porwane nie zostały, jeśliby im ono porwanie cale nie było po woli? A i to — uważają nadomiar — iż wszyscy o którychbykolwiek szła rzecz, którzy mieszkają w Azyi, ni kiedy o te wszystkie rapty wielkiej nie czynili sprawy, Hellenowie zasię przez jedną Lakedajmonkę, okropną zgromadziwszy flotę, zwalili się na Azyą, aż dokończyli zagładą Pryamowego królestwa. Coby się kolwiek rzec miało, od tego czasu Persowie całą dzierżący Azyę, a przeto i plemiona Barbarzyńców którzy w niej siedzą, Europę i Helladę poczytujący za obcych, wręcz sobie Hellenów za osobliwe liczą nieprzyjacioły.

V. Takie są świadectwa Persów, tuszących sobie przeto owo niegdy zburzenie Troi mieć na wytłumaczenie swoich przeciwko Hellenom nieprzyjaźni. Aliści co się tkło przygody Io, Fenikowie cale się pod tem, co powiedają Persowie, nie piszą. Nie pozwalają wiera na to iżby od nich wzięta była siłą i uprowadzona do Egiptu. Ale się upierają przy tem jakoby ze sternikiem ich statku sprawy swoje miłosne mająca, obaczyła się z tego brzemienną, zaczem w strachu przed gniewem ojców podała się po swojej woli iżby z nim jechać, gwoli ukrycia wstydu. Ano nie przeto tutaj głosy Persów i Feników powtarzam, iżbych się imać chciał rozpleścia prawdy przy kim jest. Pokażę jeno wżdy ów naród o którym zaprawdę wiem jako najpierwszy wojnę z Hellenami począł, a nuż co które zdarzenia powiem, tedy prawie będę nawracał ku wielkim i małym państwom jako się pośród ludzi wyrabiały. Jako mi przedsię wiadomo iż sprawy ludzkie ni kiedy trwają w statecznej pomyślności, a także iż wiele państw drzewiej bywszy wielkiego znaczenia, ninie pospadało, przeciw innym z małego poczętym a zaś do niedawna we wielkiej chodzącym potędze, — przeto mi się też słusznem zda powiedać o tych i owych.

*

VI. Krezus, Lidyjczyk rodem, Alyattesa syn, rządził w narodziech, które siedziały za Halys rzeką, która rzeka poczynająca się na południu, rozcina Syryę od Paflagonii, na ostatek bieżąca na północ by wpaść do morza Czarnego. Ten to Krezus, wedle tego co nam wiadomo, był pierwszym który ludy helleńskie niejakie podbiwszy, uczynił je sobie lenne, z drugiemi zasię wszedł w przymierze. Ano pierwszy byli Jonowie, Eolowie i Dorowie z tych jacy w Azyej osiedli, a one drugie były Lakedajmońskie. Niczem ów na tron wstąpił, wszystkim ludom helleńskim jakie były, płużyła wolność. Wyprawa Kimeryjców na Jonię niegdy najechawszych, dawniejsza od Krezusowych czasów, nie szła o podbój, któryby patrzał był shołdowania helleńskich miast, a jeno była najazdem dla drapieży.

VII. Na domiar, państwo to, jako je drzewiej dzierżali Heraklidzi, przeszło w dom Krezusowy, albo inaczej Mermnadów, takim sposobem jako powiem.

Kandaulos, od Hellenów także Myrsilosem zwan, królował w Sardes. A był z pokolenia Alkeosa Haraklesowego syna. Agron, syn Nikosa, niegdy wnuk Belosa, niegdy wżdy prawnuk Alkeosa, był z pośród Heraklidów królem na Sardes pierwszym, Kandaulos wiera, Myrsesowy syn ostatnim. A poprzód Agrona włodarzami tej krainy byli, którzy się wiedli od Lydosa, Atysowego syna, od którego imię zostało Lydom, bywszym wiera przedtem Majonom; od tych wżdy, jako rzecze wyrocznia, królów starodawnych, państwo zdane było Heraklidom, Heraklesa potomkom, które ów miał niegdy z Jardanosa niejaką niewolnicą. Te wiera we dwadzieścia dwa pokolenia po sobie następujące, w lat pięci stach i pięci wszystkiego razem panowały z ojca na syna aże do Kandaulosa po Myrsosie.

VIII. Który Kandaulos król miał żonę w której sobie tak niezwyczajnie smakował, że sobie prawie wbił do łba iż w niej posiadł co tylko naprzedniejszego było z babskiego rodu całego świata. Przy onem to mniemaniu swem statecznie trwając, coraz to chwalbę czynił jej wdziękom wobec Gygesa Doskylosowego syna, który był z jego strażej, a którego znacznie miłował, zwierzając mu swoje sprawy jakie miał najtajniejsze. Jednego przecie dnia — którego zaprawdę nieszczęściu jego nastał początek, rzekł mu wręcz: że nie może być Gygesie, abyś wiarę iście dał temu coć o nadobności żony mojej powiedam; człek wżdy jako wiem, nie tyle dufa uszom, a niż oczom. Nie może przeto inaczej być, jedno musisz ja widzieć nagą... Jakież to słowa niezwyczajne — krzyknął zasię Gyges —. Czyli to w rzeczy ty sam nakłaniasz mnie abych się ważył pojrzeć na małżonkę pana mojego nagą? Zaliż niewiasta szaty ze siebie zdziewająca, razem i wstydu swego zgoła nie porzuca? Czyliż i toć niewiadome iż pośród przykazań starodawnych które mają być mężom obyczajne, powiedziane jest: Nielżać wzroków twoich podnosić nikuczemu, coby nie było twoje? Cale upewnion jestem iż niemasz urodziwszej ponad królowę niewiasty, jednoć zaklinam abyś mnie ponad moją powinność nie przymuszał.

IX. Tak tedy Gyges stawiał się przeciw osobliwemu przedłożeniu które mu było uczynione, a owszem obawiając się jakowego potrzasku, niepokoił się, na coby się obrócić miało. Kandaulos przedsię dalej mówiąc, powiedział mu: żebyś serca, Gygesie, nabrał, a nie turbował się, ani odemnie iżbym cię słowy memi jedno na pokuszenie

wodził, ani od żony mojej iżbyś się kiedy na gniewy jej przeto wystawił; że już tak — pry — wszystko uczynię iżby nie przyszła na to, jakoś ją widział; ano że cię skryję w łożnicy naszej u dźwierzy które niecham otworem; w tenże czas za mną przyjdzie żona; podle dźwierzy przedsię jest karło, na które składać będzie, zwłócząc, odzież swą jedno pod drugiem, że będziesz przeto mógł napatrzeć się jej do woli; że zasię obróciwszy się by ledz, poda ci plecy, że więc łatwie przyjdzieć niewiele przydawszy fortelu, ujść precz bez onej w tem obaczenia się.

X. Nie mając tedy Gyges sposobu żadnego iżby się temu umknął — gotował się być mu posłusznym. Kandaulos wżdy, kiedy nadeszła pora, powiódł go do alkowy. Ledwie legł, pokazała się królowa. Ano Gyges wejrzał na nią jako przyszła i porzuciła swe szaty, zaczem kiedy się obróciła, wyszedł nie uczyniwszy szelestu, nie udało mu się wszelako iżby go w tem nie dojrzała królowa, a dojrzawszy, iżby się jej razem oczywistą nie stała sromota uczyniona od króla. Nie kwapiąca się przedsię z wymówkami, czegoby nie była w stanie bez tego iżby krwie do lic puścić nie musiała, niczego po sobie nie dała miarkować, poprzysięgłsza wiera zemstę za wzrządzoną sobie od Kandaulosa obrazę. Lydowie wżdy, porówni ze wszystkimi bez mała ludami barbarzyńskiemi, poczytują sobie za infamię — a to nawet dla mężów — być widzianymi na goło.

XI. Wszelako, jako się rzekło, królowa niczego po sobie pokazać nie chcąc, zmilczała. Prawieli przecie zadniało, przykazawszy sługom swym conajzaufańszym trwać pod ręką aby czyniły co każe, posłała za Gygesem. Ten wżdy, próżen zgoła podejrzeń iżby wiedziała co się było przydarzyło, szedł do niej jako powszednio ilekroć od niej był wołan. Gdy tedy stanął wobec, królowa rzekła mu tak: Owo ci dwa końce dawam a przyzwalam abyś sobie ten wybrał, jakić bardziej po myśli, a to iż abo Kandaulosa zabiwszy, mnie pojmiesz i królestwo nadomiar, aboli nie mieszkając, samże się gotów na śmierć. Nie chcę — pry — abyś rozkazom jego powolny, ważył się wzrok podnosić na to coć nielża widzieć. Wypada przeto by jeden z was obu zginął, czyli ten, który do wyrządzenia mi onego despektu przymusił, czyli ty, któryś był śmiały wejrzeć na mnie jakom była naga, uczyniwszy rzecz nieprzystojną, której nie byłeś godzien uczynić.

Którą rzecz usłyszawszy zdumion Gyges wymawiał się temu bardzo, błagający królowę iżby do wyboru takowego nie był przymuszon; nie wskórawszy przedsię by ją odmienił i rozumiejąc iż nizacz jednej z obiech spraw nie umknie, ano zgubie pana swojego czyli swojej, przeto przełożył nadeń głowę własną i powieda królowej: że skoro mnie już przeciwko mojej przyczynie na zabójstwo pana mego niewolisz, ukaż mi by owo jedno, jakimbyśwa sposobem taką rzecz sprawić mieli. A ta mu zasię iż w tejże komnacie istej — pry — kędy mnie ów na twoje wzroki do cna wystawił, możesz nań czkać abyś uderzył we śpiączki.

XII. Wtem tedy wespołek spiknąwszy się, gdy noc nastała, Gyges jako po ten czas nie odpuszczon, póki abo sam gardło da, abo Kandaulosa zgładzi, od królowej w alkowę powiedzion, kędy u dźwierzy skryt z puginałem włożonym sobie do ręki. Wrychle potem, ledwie zasnął Kandaulos, postąpił w cichości Gyges, a ugodziwszy, prze jego śmierć stanął panem królowej i królestwa. A ten ci to sam Gyges, którego Archilochos, Paryjczyk, jako był jego czasów, powieda wierszem jambicznym a trójcowym.

XIII. Miał ono królestwo potem potwierdzone od wyroczni delfickiej, a owo w takich okolicznościach: Lydowie Kandaulosa zabójstwem zagniewani, chwycili za broń, zanim jednak do czynienia między nimi a Gygesowymi przyszło, stanęło na tem: jeśliże owa wyrocznia przyzna za króla Lydyi Gygesa, tedy państwo przywrócone będzie Heraklidom. Która wyrocznia wysłuchana, Gyges przeto królem utwierdzon. Wżdy Pythia ktemu przydała iż krew Heraklidów pomszczona będzie na piątym potomku Gygesa. Ani na tę część wyroczni Lydowie, ni też króle po Gygesie następne nie uważali, aż potem przyszedł sam dzień że się dopełniła.

(Dok. n.) Przełożył MICHAŁ PAWLIKOWSKI

MIASTO PODBITE PRZEZ ŻYDÓW

LUBLIN jest miastem o którym zapomniano. Dziś — zgodnie z Małym Rocznikiem Statystycznym — zajmuje pod względem wielkości zaledwie 11 miejsce. Bogate ziemiaństwo, które niegdyś zjeżdżało tu szumne i butne parę razy do roku ścichło i znikło, handel jest w rękach Lwowa lub Warszawy, po przemyśle zostały tylko rzesze bezrobotnych, życie kulturalne śpi, Łobodowski zakwitł w Łucku pod skrzydłami wojewody Józefskiego, Czechowicz pisze w „Płomyku", młode pokolenie poetów — Lublin interesuje się tylko poezją — dopiero zaczyna zataczać pierwsze „Kręgi na szkle"...

Ale Lublin się dźwiga (i to znacznie wcześniej niż od czasu gdy został kreowany na stolicę Polski B). Buduje drogi, ulice, domy. Dmucha na wygasłe paleniska pieców fabrycznych. Cudem utrzymuje przy życiu swoich bezrobotnych. Przypominać sobie zaczyna o swoich zabytkach.

A to już dobrze. Bo Lublin — to mały Kraków. Gdyby pamiątki miasta uprzystępnić, gdyby przenieść więzienie, które się mieści — czy nie zgroza?! — w dawnym zamku królewskim, zawierającym w swych murach jeden z najstarszych w Polsce kościołów, przepiękny, o ścianach krytych polichromią, kościołek św. Trójcy, gdyby zrekonstruować Trybunał, dziś przeznaczony dla petentów opieki społecznej, przenieść doń ów stół z łapą diabelską, który obecnie stoi — nie wiadomo po co — w pokoju sąsiadującym z salą posiedzeń rady miejskiej, gdyby udostępnić turystom w nieładzie trzymane zbiory kościoła Dominikanów, gdyby... gdyby... (tych „gdyby" toby się jeszcze znalazło!) to by miasto mogło ściągać do swych murów rok rocznie wielkie rzesze turystów. A obecnie ich nie widać jeżeli nie liczyć kupy Żydów, którzy się tu zjeżdżają aby ujrzeć swój „Jeszybot" (uniwersytet rabinacki).

Pomijając jednak to wszystko co można i należy zrobić trzeba przyznać że już zrobiono wiele. Myślę tu o „wykopaliskach” na rynku i o budującym się gmachu muzeum. Do tych zdobyczy kulturalnych trzeba dorzucić jeszcze jedną, niezmiernie ważną pozycję.

Przed kilku miesiącami wyszła sumptem zarządu miejskiego w Lublinie bezcennej wprost wartości książka — jedna z tych książek, które swym ukazaniem się rekonstruują i przywołują do życia zamarłą przeszłość. Książka nosi tytuł „Materiały do historii miasta Lublina” a jej autorem jest kustosz Archiwum Państwowego w Lublinie Jan Riabinin[1]). O niej to, zanim rozlegną się głosy fachowej krytyki, chciałbym parę słów napisać.

Materiał zebrany przez Riabinina obejmuje wszystkie akty królów, względnie starostów miejskich, wyroki sądowe, orzeczenia i tp. dokumenty dotyczące w swej treści życia Lublina. Zbiór rozpoczęty przywilejem lokacyjnym nadanym miastu przez Władysława Łokietka w 1317 r. kończy się niezliczoną ilością wyroków i orzeczeń — sięgających po rok 1792 — wywołanych niezgodnością pożycia ludności polskiej i żydowskiej na terenie Lublina.

Jest rzeczą niewątpliwą, że Lublin istniał jako miasto znacznie wcześniej niż o tym świadczy data pierwszego, do dziś dnia zachowanego przywileju lokacyjnego. Po wcześniejszych nie zostało jednak ani śladu czemu nie należy się dziwić, jeżeli uprzytomnimy sobie tragiczne koleje losu, jakie przechodził gród nadbystrzycki. Zbudowany początkowo — według wszelkiego prawdopodobieństwa jako forteca graniczna—musiał odegrać ważną rolę w czasach, gdy ekspansja polityczna zwróciła się na wschód, a kto wie czy nie stanowił bazy wypadowej dla wypraw Chrobrego i Śmiałego na Kijów. Dzięki swemu pomyślnemu położeniu na wysokiej górze, otoczonej z trzech stron rozlanymi w bagna rzeczkami, mógł się dzielnie opierać atakom, jeżeli tylko znajdował oparcie o silne i gotowe pomścić każdą zniewagę państwo. Gorzej jednak przedstawiać się musiała ta obronność w czasie, gdy na skutek walk wewnętrznych między synami i wnukami Krzywoustego cały właściwie obszar między Wisłą a Bugiem był zalewany raz po raz przez zagony ruskie. Odcięty od kraju i otoczony Lublin pada teraz często ofiarą przemocy. W 1205 oblega go Roman Halicki; potem zdobywają go Daniło Romanowicz, Lew Daniłowicz, Jur Lwowicz. Dwa najazdy tatarskie obracają za każdym razem gród w perzynę (wówczas to podobno zginęły wcześniej nadane przywileje lokacyjne) wreszcie nie dają spokoju mu Litwini, Prusacy, Jadźwingowie.

Łokietek odbudowuje w trudzie i znoju wielką zachodnią koncepcję polityczną Bolesławów przywraca Lublinowi bojowo-obronny charakter. Świadczyć zdaje się o tym fakt nadania miastu ogromnego — bo aż 100 łanów liczącego — obszaru, który to obszar w zamienieniu na ludzi na nim zamieszkałych dawał nie bylejaką podstawę obronną.

Za Kazimierza Wielkiego zaczyna się okres rozbudowy gospodarczej miasta. Lublin znajduje się w rękach kolonistów niemieckich (w 1242 wójtostwo nabywa niejaki Franczek, mieszczanin moguncki) o czym mogą świadczyć choćby nazwiska ławników-sołtysów wymienionych w akcie z dnia 22 stycznia 1456 r.: Jehanne Griszlo, Martin Höwer, Paulo Newpurg. Obszar posiadłości miasta zmniejsza się znacznie, natomiast rozrasta się właściwe miasto i rozbudowuje handlowo. Wiemy że utrzymuje ożywione stosunki ze Śląskiem (Wrocław) z Rusią i z Wielkopolską. Wschodnio-północna polityka jagiellońska zamienia graniczną fortecę i punkt strategiczny w miejsce ekspansji gospodarczej i ośrodek — lepszy, bo bliższy niż Lwów — dla handlu z bliskim wschodem. Kupiectwo lubelskie korzysta z niezliczonych przywilejów, które pozwalają mu, może nawet nieco sztucznie, rozrastać się i bogacić. Lecz nawet ten złoty dla miasta okres nie uwalnia go od grozy ciągle wiszących nad głową napadów. 16 wiek przynosi nowy zalew tatarski i turecki. Miasto więc korzysta z nowych ulg i pomocy. Ochraniane są także i rozwijane słynne od czasów Jagiełły jarmarki lubelskie (później przeniesione do Łęcznej) które odbywały się początkowo raz, potem dwa zaś w 16 wieku cztery razy do roku i skupiały ogromną rzeszę kupców zarówno lewantyńskich jak i zachodnioeuropejskich: francuskich, włoskich, angielskich.

Tak eksponowana na wszelkie niebezpieczeństwa pozycja Lublina sprawia, że mimo ciągle udzielanych miastu pomocy ze strony państwa, gród poczyna upadać. Przestaje być jednostką samodzielną gospodarczo, wpada natomiast coraz w zależność od kupców obcych, którzy na jego terenie robią, co im się tylko podoba. Zresztą jest to zjawisko, które w mniejszym lub większym stopniu pojawia się we wszystkich miastach polskich, lecz Lublin specjalnie wiele z racji swego położenia w bliskości wciąż płynnej granicy wschodniej doświadczył tych nieszczęść. Jeżeli dodamy do tego ciągłe pożary, które na skutek braku większej rzeki, ciągle pustoszyły miasto oraz częste odwiedziny moru, wywołane prawdopodobnie niezdrowym położeniem miasta nad bagnami, musimy się zgodzić, że mało które miasto miało — mimo całej pomocy ze strony państwa — tak mało widoków rozwoju, co właśnie Lublin.

Zresztą istniała też druga zasadnicza plaga w skutkach znacznie groźniejsza, niż stałe napady i wojny, pożary i mory. Tą plagą stali się dla miasta Żydzi. W ogóle można powiedzieć, że dzieje Lublina to dzieje walki z uporczywym zalewem żydowskim, osiągającym tu napięcie nigdzie chyba nie notowane. Żydzi uczepiwszy się murów miejskich z dwóch stron: od północy i od południa dążą z kolei ze wszystkich sił do wtargnięcia do wnętrza miasta. W 1518 r. wybucha pierwszy zatarg, gdy starosta lubelski Jan z Pilczy wpuścił Żyda i pozwolił mu wybudować dom przy bramie miejskiej. Wówczas to Zygmunt I kazał dom ów przenieść gdzie indziej i przy sposobności wydał polecenie, by „wobec uprawiania przez Żydów handlu z większą niż należałoby i niż pozwolone im jest wolnością ...ograniczyś tak szeroką i niezwykłą łatwość Żydów w handlu i przywrócić ją do dawnej miary... albowiem niestosownym byłoby, aby Żydzi korzystali z równych z chrześcijanami prerogatyw i wolności”.

Na czym polegała ta „większa wolność” dowiadujemy się ze skarg rajców miejskich, którzy w 1521 r. wykazują jak Żydzi otoczyli miasto siecią pośredników i „nie dają włościanom, dążącym

[1]) J. Riabinin „Materiały do historii miasta Lublina„ Wyd. Zarz. Miejsk. w Lublinie, Lublin 1938 r.

do miasta ze zbożem, dojść do rynku... lecz skupują artykuły te po wyższej cenie, powodując niedostatek ich w mieście".

Riabinin powiada, że polityka władz państwowych w stosunku do Żydów „odznaczała się dużą chwiejnością i brakiem konsekwencji". Powiedzmy to sobie, że była po prostu bezsensowna, bo czym wytłumaczyć to sobie, że ten sam Zygmunt I w 1535 r. zezwala na zamieszkanie w mieście niejakiemu Pessachowi Joskowiczowi z żoną Esterą Lubą? Wprawdzie miał to być przywilej osobisty lecz prędko się okazało w co się zamienił. Dzięki zrobionemu raz wyłomowi ekspansja żydowska poczęła się rozwijać już w ramach murów miejskich tak, że w 1549 r. powstają nowe i ostre zatargi na tle „przeszkadzania mieszkańcom w zarobkach".

Odtąd Żydzi nie tylko atakują miasto lecz także poczynają się chwalić i zasłaniać otrzymanemi przywilejami. Gdy ich nie mają, rozpoczynają „płacz i prośby", powołując sie na nieistniejące akty jak np. na ów mityczny przywilej króla Kazimierza, który rzekomo w 1558 r. „zgorzał tak dwie lecie".

Jednakże z wielu przywilejów Żydzi rzeczywiście korzystają. W 1566 r. doktór żydowski Izaak May otrzymuje pozwolenie na budowę domu tam gdzie była sadzawka zamkowa, w 1613 Mateusz (?) Szklarz otrzymuje teren pod górą zamkową, który mu wolno „zasiąść i zamurować". Mają już wówczas własną synagogę, wyższą szkołę talmudyczną, drukarnię, jatki. Szczególnie ciekawe jest, co Żydzi tłoczyli w swej drukarni, skoro w 1631 r. król Zygmunt III poleca swemu sekretarzowi Jakubowi Fredrze wszystkie pisma z żydowskiej drukarni zabrać i przesłać do kolegium oo. jezuitów. Czy nie wiązało się to przypadkiem z ogromnym — w tym samym czasie — rozwojem sekt heretyckich, o których zresztą za chwilę wspomnę.

Wreszcie w 1646 r. pada iskra na rozsypane prochy. Uczniowie szkół jezuickich widząc miasto „w opresji" żydowskiej, urządzają Żydom pogrom. I jakby w odpowiedzi na powszechne podniecenie król potwierdza w 1649 r. wszystkie prawa i przywileje nadane przez swoich poprzedników Żydom lubelskim a także powiększa je od siebie, zaś Jan Kazimierz w 1654 r. muzykantom żydowskim daje formalny monopol na produkowanie się ze swoją sztuką na „wszelkich weselach i posiedzeniach". W 1660 r. ludność żydowska zostaje zwolniona od podatku sztukowego.

Próżno teraz w 1671 r. przypomina król Michał Wiśniowiecki, że dekretem Zygmunta III z 1594 r. Żydom nie wolno zajmować się „warzeniem i propinowaniem" piwa oraz wypiekiem chleba i pędzeniem wódki dla handlu z chrześcijanami. Wielki obrońca interesów żydowskich — niestety — Jan III (może przez wdzięczność kamienica Sobieskich w Lublinie jest obecnie od góry do dołu zamieszkana przez Żydów!) znowu w 1676 roku przywraca Żydom wszystkie wolności, pozwalając jednocześnie żydostwu wynajmować oraz kupować domy i grunty.

Wprawdzie w trzy lata później król zwraca uwagę, że jednak Żydom nie wolno handlować w niedzielę a nawet przebywać w „mieście murowanym", nie wolno trzymać służby chrześcijańskiej, nie wolno im także krzywdzić biednych wdów i sierot, korzystających z dobrodziejstwa monopolu na wyrób i sprzedaż płótna, sukien i czapek, ale przecież w 1696 r. wbrew sobie samemu wydaje Żydom lubelskim „konsens na wolny handel w mieście Lublinie", precyzując swoje stanowisko w słowach: „wola tedy nasza wyraźna jest aby Żydzi lubelscy w handlach swoich żadnej przeszkody od wierności waszych i kupców lubelskich.(!) nię mieli".

W mieście powstaje stan wrzenia, aż Żydów musi brać w swoją opiekę prymas Radziejowski zaś August II w 1703 r. wydaje dekret by Żydzi „w mieście murowanym żadnych handlów i szykanów nie prowadzili", by im kramów nie wynajmowano, szynków w arendę nie dawano i „aby... Żydzi barysznicy po mieście się nie włóczyli, kupców od chrześcijan nie odmawiali". Jak bowiem ze skarg mieszczan wynikało, Żydzi w tym czasie pilnie „pikietowali" chrześcijańskie kramy, szlachtę i podróżnych od kupowania u Polaków odmawiali, do swoich sklepów wiedli i inne jeszcze „preiudicia" kupcom i mieszczanom czynili.

Wreszcie w 1720 r. wyszedł dekret królewski pierwszorzędnej treści w którym August II, uwzględniając winy Żydów, a więc to, że w niedzielę i święta handlują, cło bezprawnie od przybyłych ściągają, kupców do miasta nie dopuszczają, a potem po wyższej cenie odsprzedają", służących i szynkarki katolickiej religii utrzymują, „szabaszy" swoje publicznie odprawiają, a „szynkowaniem trunków przed kościołami chrześcijańskiemi od nabożeństwa odwodzą, z nabożeństwa katolickiego i księży do chorych idących się naśmiewają, podatków nie płacą, podstępem obywateli miasta do upadku przywodzą"— poleca niezwłocznie wszystkich Żydów z miasta wyrugować, a kontrakty z Żydami zawarte przekreślić. Jest to dekret, który mógł mieć dla miasta znaczenie zasadnicze tym bardziej, że w 1736 r. wyrok sądu asesorskiego w Warszawie ustalił karę 1.000 grzywien dla tych, którzy wynajmują Żydom mieszkania, budy i kramnice.

Cóż kiedy znaleźli się ludzie, którzy wbrew wyjątkowo niechętnemu dla Żydów stanowisku królów saskich świadczyli żydostwu tysiące „dobrodziejstw". W 1718 r. starosta lubelski Załuski ogłosił, że przyjmuje Żydów „pod swoją moc i protekcję". Żydzi mając takich popleczników ani myśleli stosować się do dekretu królewskiego. Zresztą i inni strzegli ich interesów. Niesłychany upadek moralny, tak charakterystyczny dla tej doby, stał się przyczyną, że magnaci Sanguszko, Czartoryski, Lubomirski, Lanckoroński, Potocki, Koźmian, ks. Zalewski, kanonik lwowski i inni ukrywali ich w swoich domach lub oddawali im karczmy w arendę. Nie były wolne od tego grzechu i klasztory: dominikanie trzymali Żydów w kamienicy Hermsonowskiej przy ulicy Dominikańskiej, trynitarze — w swoich browarze i łaźni, pijarzy — w kamienicy Dąbrowskiej na przeciw kościoła św. Ducha, bernardynki — w swych karczmach.

Nie pomógł uniwersał Augusta III z 1737 r. grożący wyżej wymienionym użyciem siły wojskowej i karami. Nic nie pomogło stwierdzenie, że Żydzi narazili miasto na szkody do 100.000 złp. Nic nie pomogło odebranie Żydom w 1738 r. listu żelaznego. Rozpaczliwe laudum mieszczan lubelskich z 24.III.1759 r. przeszło bez echa choć wy-

nikało zeń, że Żydzi „wszystkie sposoby do życia katolikom odebrali", „chrześcijan podkopują, w mieszkaniach podchodzą" tak, iż niegdyś bogata ludność miejska dziś liczy zaledwie „trzecią część zubożałego pospólstwa", „szabasze publicznie odprawują, z procesyj kościelnych i innych ceremonii blisko mieszkając, urągają się", „przez których Żydów zabieranie, faktorowanie, odmówienie, podstempki i naturalną ku katolikom nienawiść tak pryncypalne cechy złotniczy, cerulicki, krawiecki, kuśnierski, piwowarski, piekarski, kotlarski, szafraniczy jako i inne wcale upadły", „zuchwale sobie podstępują prawa, dekreta, komissyję za nic mają, towarami prawem zakazanymi handlują i chleba kawałek z gęby prawie katolikom wydzierają". Rada miejska zgodnie z dekretem królewskim postanowiła Zydów wyrugować z miasta „wszystkie kontrakty ....kassując i umazając tak aby żadnego waloru mieć nie mogły". Lecz wówczas znaleźli się możni szlacheccy obrońcy, którzy spędziwszy chłopów ze swoich majętności kazali im stać z kosami i cepami na straży interesów żydowskich. To też laudum podnosząc raz jeszcze wszystkie przewiny żydowskie błaga po prostu Zamoyskiego, starostę lubelskiego, by miasto od „opressyi i żydowskiego oblenżenia wcale uwolnić raczył".

Próżne to były wszystko starania. Ukryci za plecami możnowładców Żydzi drwili sobie z rozpaczliwej sytuacji mieszczan. Pożyczając szlachcie na hulanki i zabawy, mogli ją potem użyć według własnej woli. A sami siedzieli w najwspanialszych budynkach miasta. Według aktu z 1770 r. zajmowali pałace Czarnieckich, Gałęzowskich, Ordynackich, kamienice wojewody kijowskiego, lubelskiego ruskiego, wojewodziny chełmskiej, Jabłonowskich, Kickiego, Komorowskiego, Pijarską, Rzewuskiego, Stefanowskiego, Trembińskich, Wolskich, karczmy pp. bernardynek, Lanckorońskich, Zaniewskich, łaźnię trynitarską i wiele innych.

Ostatni raz jeszcze zerwało się miasto do obrony rozpaczliwej, pragnąc siłą otrząsnąć się od Żydów. Naturalnie niczego nie uzyskało, boć walką nie wiele tu można osiągnąć. Zresztą Stanisław August strzegł Żydów i wydał im list żelazny zaś rabinowi Herszkowi Szawłowiczowi nadał stanowisko drukarza i bibliotekarza w Lublinie. Nadeszły czasy rozbiorów a wiemy do jakiej potęgi wtedy doszli Żydzi.

Ciekawym momentem dziejów Lublina jest wiek 16. Wtedy to w mieście — jako odbicie ruchów reformacyjnych — poczęły się rozwijać w błyskawicznym tempie herezje arian i trydeistów. Liczne przepisy i dekrety utrudniały im zbieranie się i odprawianie nabożeństw. Otóż wiele przemawia za tym, że wówczas to Zydzi, już korzystając z niezliczonych i wyjątkowych przywilejów, wspomagali ich, licząc, iż w razie uzyskania przez reformatów zwycięstwa, ci, wywdzięczając się za pomoc, szybciej otworzą przed nimi bramy miasta.

Książka Riabinina stanowi dokument straszliwej prawdy, to też wartość jej jest ogromna. Samym zgromadzeniem materiału historycznego, otwiera ona drogę historykom miasta a także historykom całej Polski. Zwraca uwagę na przyczyny, które spowodowały upadek naszych miast, wskazuje na wrogą rolę elementu żydowskiego, którego samo pojawienie się stawiało tamę rozwojowi i wszelkiej pomyślności ludności chrześcijańskiej. Szczególniejsze znaczenie ma książka dla Lublina — dla miasta, które niegdyś właśnie przez Zydów zostało zniszczone a dziś wśród trudów dźwiga się na nowo ku swojej pomyślności i ku swojej polskości.

J. D.

ZE ŚWIATA SZTUKI

BOGNA KRASNODĘBSKA-GARDOWSKA

JEDNA z najwybitniejszych polskich drzeworytniczek współczesnych, Bogna Krasnodębska-Gardowska, wystapiła poraz pierwszy ze swą wystawą zbiorową, w Instytucie Propagandy Sztuki. Artystka wystawia od roku 1926-go, należy do członków-założycieli „Rytu", brała udział we wszystkich wystawach tego Stowarzyszenia, uczestniczyła również w pokazach reprezentacyjnych grafiki polskiej zagranicą. Obecna jej wystawa gromadzi wybór prac, znanych już, a także nowy, wykonany w ubiegłym roku cykl pt. „Człowiek i drzewo", złożony z 6 rycin, oraz drzeworyt barwny „Po deszczu" z roku 1938-go. Najpiękniejszy jest chyba dorobek artystki w zakresie drzeworytu barwnego i w tej dziedzinie niewiele ma Krasnodębska-Gardowska sobie równych, nietylko u nas ale i w Europie.

Trzeba to jeszcze podkreślić, że teren, na który wkroczyła drzeworytniczka przed laty, wystawiając w 1926-tym swe pierwsze ryciny barwne, był zgoła nieuprawny, gdyż odnowiciel naszego drzeworytnictwa, Skoczylas, sam uprawiał ksylografię czarną. Zawdzięczając, jak inni, wiele swojemu nauczycielowi, musiała tu już artystka rozpocząć poszukiwania nowego wyrazu drzeworytniczego zupełnie samodzielnie, nie wsparta w tych poczynaniach żadnym przykładem. Osiągnęła w tych rycinach większą, niż ktokolwiek inny, graficzność, nie zbaczając nigdy w kierunku, wiodącym drzeworyt barwny na manowce. Ujawniła w nich własną, bardzo odrębną indywidualność, pogodną, z ducha szczerze polską, wrażliwą na urok przyrody, ujmującą po swojemu, w interpretacji graficznej, piękno naszego krajobrazu. Jej sposób cięcia jest żywy, pełen werwy, obdarzony prawdziwym nerwem „rytmicznym" a kreska giętka i ruchliwa.

Jednocześnie uprawia Krasnodębska-Gardowska i drzeworyt czarny, w którym od sposobów cięcia, względnie nieskomplikowanych, zmierza ku fakturze coraz bogatszej i zróżniczkowanej. Z czasem temu właśnie drzeworytowi zaczyna graficzka poświęcać coraz więcej uwagi i w związku z tem obserwujemy zjawisko, przy którego omówieniu chciałbym dłużej się zatrzymać. Oto artystka, już znana i uznana, o wyraźnie określonym rodzaju twórczości, jakby niezadowolona z ujęcia graficznego i tonu uczuciowego swych dotychczasowych rycin, poczęła zmieniać technikę, treść i nastrój ciętych przez siebie drzeworytów. Rezultat tych

zmian — bądźmy szczerzy — nie zawsze wypadł dodatnio, głównie dlatego, iż wniósł do grafiki artystki tony jej psychice raczej obce, sugestje innej wielkiej indywidualności (Kulisiewicz) temperamentu wręcz przeciwnego. Powstaje pytanie: dlaczego drzeworytniczka tak indywidualna, tak odrębna, zaniedbuje zagon rytowniczy, dotychczas uprawiany z takiem powodzeniem? Ha, człowiek żyje, więc się i zmienia, poeci, którzy w młodości piszą erotyki, potem zajmują się zgoła innemi zagadnieniami.

Pragnę zarazem zwrócić uwagę na pewien objaw, nad wyraz dodatni, w tem artystycznem przeistaczaniu się Krasnodębskiej - Gardowskiej. Drzeworytniczka mogła sobie najspokojniej żyć z procentów od kapitałów zdobytej umiejętności i sławy, nie wysilając się zbytnio i mnożąc z łatwością ryciny w ustalonym już typie. Niejedna „firma" tak robi, w uznaniu zasady: poco ryzykować? Krasnodębska-Gardowska jednak nie wahała się przekroczyć progu własnego drzeworytniczego domu, by pójść znowu w świat poszukiwań, by znowu trudzić się, szukać, a więc czasem i zbłądzić. Lecz to jest życie, życie lepsze oe wszelkich „stabilizacyj", wiecznego przeżuwania tego samego.

Na zakończenie pragnę omówić nowy, wspomniany już na początku, cykl drzeworytów p. t. „Człowiek i drzewo". Dawny człowiek, zabawna figurka, zcalona z pejzażem w jedno, rozrosła się z czasem do postaci pierwszoplanowej, z tłem krajobrazu poza sobą. Takim jest też człowiek w ostatnim cyklu Krasnodębskiej-Gardowskiej. Sam pomysł, idea tych rycin są bardzo piękne. Słusznie zwraca uwagę p. Samotyhowa na epickość tego tematu. „Mieszkaniec lasu, człowiek ziemi idzie na wyrąb drzewa; buduje dom; sporządza kołyskę zadumany o sprawach ostatecznych wystruguje świętą figurę, potem spoczywa w drzewie trumny i nad mogiłą dostaje drewniany krzyż". Oto jest syntetyczny skrót życia ludzkiego. Jego zwartości, twardej wymowie niezupełnie odpowiada technika graficznej wypowiedzi, wybrana przez artystkę; pełno tu wielomówności i skomplikowania, a przydałyby się raczej cięcia proste i lakoniczne, słowa drzeworytnicze twarde i mocne, skąpe a przemyślane. Chcielibyśmy więcej surowej prostoty, odpowiadającej tematowi. Lecz sam temat jest tak godny uwagi, iż — mam wrażenie — skusi graficzkę jeszcze raz, by go opracowała w nowem, innem ujęciu.

Wdzięczni drzeworytniczce za radość oglądania jej najpiękniejszych rycin barwnych, obserwując teraz nowy trud rytowniczy tej duszy ambitnej i żarliwej, życzymy Krasnodębskiej - Gardowskiej, by w swej odmiennej obecnie pracy, doszła do równie wartościowej, jak przedtem, odrębność wyrazu artystycznego.

WIKTOR PODOSKI

WIERSZ ROMANTYCZNY

Nie dla poety dzisiejszy wiatr.
W drzewach zapłonął i w drzewach zgaśnie.
Gwiazdy spadają na własne cienie —
gdziebądź.

I żaden mi z ciemności nie wybuchnie kwiat.
I żaden mnie horyzont naodlew nie trzaśnie.

Cóż pozostało? Tylko z porankiem się rumienić —
i w wierszach grzebać.

Ty nie zrozumiesz nigdy, skulony pokorą w ciszę,
że ja poza tym wierszem wiersz inny, jaśniejszy słyszę,
każdy rytm — uderzenie podkowy.

Bez trudu skręcę w tkliwość, gdy łzy obniżą oczy
i znów po echach miękkich zsunę się w szept parowu.
A niech mi wtedy gwiazda jak wilk do gardła doskoczy —
wspiąć się na krzyku wystarczy,
światło przesunąć po tarczy —
i już pióropusz złoty dymi z zuchwałej głowy.

Samotny, na czarnym koniu.
Noc jak elegia wokoło.
Chciałbym spocząć — ostrogi dzwonią.
Taki dzwonek o galop woła.

Ha, sam pojadę przez wiersze, jeśli mi wierzyć nie chcecie,
jeśli to łuska głosu na słowach mych tylko świeci —
a serce odpadło jak echo
i tłucze rozpaczą o drzewa.

WROGOM

Jaskółką wyfrunąłem spod strzechy,
żeby w każdy obłok się wśpiewać
i nazwać już raz po imieniu
wszystkie wasze podławione drżenia,
wszystkie lęki pełzające po cieniach;
każdy śpiew niziuteńki,
maleńki —
jak kwiatek.

Klaskajcie tęsknym muzom. Jak pastuch wiersz smagam batem.
Ja tylko poto tęsknoty rozmieniam na lśniące łzy,
żeby móc nimi okuć jak gwoździmi me słabe sny
i na tych snach w patos wzlatać.

Nie wierzcie.
Przede mną wieje, ból — złość rozwiewa samotność.
Na krańcach silnej rozpaczy wciąż rosną topole dumy.
Tam do nich mnie — wiatry — nieście.
Z szumu topól — bieguny kołyski.

Gdy naprzód jechać nie wolno, znam większą drogę: powrotną.
Coraz to dalej. Coraz to dalej. Podkowy od mroku śliskie.
Już dopadł ech zadrzewionych galop karego konia.
Ślepia wysadzane gwiazdami, rżenie paruje z pyska.
Ściągam wędzidła i ściągam okrzyk, aż tętnią skronie:
Witaj Juliuszu Słowacki! Pozdrawiam cię lordzie Byronie!

JERZY PIETRKIEWICZ

„MYŚL NARODOWA" jest wydawana kosztem prenumeratorów, prosimy więc ich o nieodkładanie wpłaty, a zarazem aby propagowali pismo w kołach znajomych i przysyłali adresy tych osób, któreby mogły „MYŚL NARODOWĄ zaprenumerować.

Apelujemy też do wszystkich, którym na wydawnictwie zależy, aby pamiętali o konieczności zasilania FUNDUSZU PRASOWEGO „MYŚLI NARODOWEJ".

NA WIDOWNI

Wielka odpowiedzialność. — Imperia nie powstają same. — Trzeba zacząć od siebie, aby doczekać się wiosny i zmartwychwstania.

PRZEŻYWALIŚMY tak niedawno dni pełne zdarzeń, że warto do nich jeszcze powrócić. Powiem, że należy nawet, bo źle by było, gdyby pewne naprawdę ważne rzeczy zbyt prędko powszedniały. A i aktualność jest zawsze żywa, skoro chodzi ni mniej ni więcej a o zmartwychwstanie mocarstwowości polskiej.

To bowiem co się stało z Austrią i rażąca dysproporcja tego co się osiągnęło od Litwy — stawiają nam już teraz jako konieczny nakaz dnia— kwestię naszej mocarstwowości. Polska musi być naprawdę wielka i musi podjąć testament Jagiellonów. Wypadki idą zbyt szybko byśmy wciąż byli nieprzygotowani.

W słowach coprawda jesteśmy mocarstwowi od dawna. Upajamy się byle czym i uspakajamy byle czym, a przedewszystkiem oddajemy się złudzeniu, że mówieniem o tym wiele się dokona i, że nasza bogata historyczna spuścizna magicznie nam w wielu wypadkach dopomoże. Ale zapominamy o najważniejszym — o sobie.

Mocarstwowość wymaga bowiem psychiki imperialnej, będącej jaskrawym przeciwieństwem tego beztroskiego gadulstwa i zadzierania nosa, jakiemu się obecnie oddajemy. Zarozumialstwo lenistwo i blaga nigdy nikogo na żaden szczyt jeszcze nie wyniosły. Przeciwieństwem ich jest — poczucie swej wartości, wytrwałość w pracy i skromne docenianie trudności. To są istotne drogi do imperium i naród, który ma tak myślących ludzi imperium buduje.

Łatwo więc zrozumieć, że dla nas problemem mocarstwowości jest problem wychowania, czy też samo wychowanie. Że jak zawsze, tak i ten problem jest przedewszystkiem problemem wewnętrznym u człowieka i, że go bez uporządkowania tych spraw — napewno się naprzód nie ruszy.

Trzeba więc mieć mocny charakter, a to oznacza właściwie dwie rzeczy, że się nie upada na duchu i że się nie wątpi w zwycięstwo. Można się nawet chociaż i potykać, byle tylko zawsze się podnosić. Z takim nastawieniem klęski i niepowodzenia są tylko jednym z elementów zwycięstwa. Najbardziej imperialny naród — Rzymianie nie zawierali nigdy pokoju dopóki nie pokonali wroga. Jeśli spotkała ich klęska to było właśnie powodem do dalszej walki i odwrotnie niżby się zwykło sądzić — przegrana bitwa zmuszała do wojny. A o Anglikach drugim imperialnym narodzie mówi się, że wygrywają zawsze bitwę „ostatnią".

Warto się nad tem zastanowić, bo jak dotychczas słynęliśmy naogół, tylko z niewykorzystanych zwycięstw, a więc wygrywaliśmy tylko bitwę — pierwszą. Zrozumiałe też dlaczego przy takim braku wytrwałości i efemerycznym zapale „słomianego ognia" Kircholmom i Grunwaldom nigdy nie odpowiadały równie tryumfalne traktaty i dlaczego zbudowane już kiedyś imperium tak prędko się rozkruszyło.

Ale by mieć mocny charakter, trzeba wierzyć i nie ma o nim mowy bez wiary. Wiara jedna jedyna może podtrzymać w ciężkich chwilach zwątpienia i dać moc wytrwania: przetrwania. A im ona prawdziwsza, tem mocniejsza opoka charakteru. I im mocniejsza wiara tem bardziej mężnieje charakter. Znowuż duża nauka dla nas, bo przysłowiowa polska miękkość zahartować się może w twardej i konsekwentnej służbie Krzyża i Kościoła.

To wszystko są niezbędne dla mocarstwa czynniki wewnętrzne i one urabiają zewnętrzne. Ale ich moc, jak wszystkiego co ludzkie, jest ograniczona. Ekspansja nawet bardzo chciana i bardzo szczytnie ujęta bez pewnych imponderabiliów albo zgoła nie ruszy, albo się prędko załamie. Imperium jeśli ma być, musi być istotnie potrzebne dla jego twórców i zakrojone na miarę ich mocy.

Musi więc być realna, fizyczna siła. Maleńka Portugalja dzięki genjuszowi swych władców — zapałowi odkrywczemu Henryka Zeglarza i zapałowi apostolskiemu „Księcia Niezłomnego" przeżyła prześwietny wiek historji i na zawsze została wielkim narodem. Bez dynastji Avis, Vasco de Gamy, i całej epopei „Luzjady" jakżeż ubogą byłaby historja Europy! — ale naród był za mały, by się na zawrotnych wysokościach utrzymać. Jedno pokolenie tytanów wydźwignęło go, ale musiał runąć z tych wysokości. Tego samego uczą Szwecja, Holandja i Węgry... I to też memento dla Polski, której rozpęd ludnościowy uległ pierwszemu — miejmy nadzieję chwilowemu — załamaniu.

Nie znaczy to jednak wszystko byśmy imperium mieć nie mogli. Owszem przeciwnie — mieć je musimy, ale drogą do niego jest, właśnie docenienie owych przedewszystkiem wewnętrznych trudności. *Medice cura te ipsum* — Europę przynajmniej tę środkową, o której marzymy, zbawimy tylko, jeśli sami będziemy zdrowi.

Więc jeszcze raz. — Tak niedawno dzwoniły rezurekcyjne dzwony, a wokoło już coraz bardziej, coraz radośniej wiosnę się wyczuwa. Więc i nas czeka zmartwychwstanie i czeka wiosna. Wiosenne piękno pociąga, choć odurza. I musi się rodzić wola życia i czerpanie z życia, a więc musi się rodzić i wola trudu, bo życie jest trudem — pięknym trudem.

Więc wiosna nie jest szałem, ale zwycięstwem wytrwałości natury i uporu życia. Wolą tego czego nie złamała zima i nie zwyciężyły słoty przedwiośnia, a co znajduje swój pełny wyraz w lecie. I jeśli człowiek w ten rytm odwieczny żyć musi, to taksamo i naród. Polska musi być wiosną i będzie wiosną, choćby niewczesne szrony bezlitośnie powarzyły zielone gałązki. Gałązki zawsze zwyciężą i zwycięży wieczne drzewo życia — tylko trzeba mieć jak i one — wolę wiosny, bytu i zmartwychwstania!

KAROL STEFAN FRYCZ

WYROK W PROCESIE „DZIENNIKA WILEŃSKIEGO"

MOTYWY

Przewodniczący Sądu odczytał motywy wyroku które powtarzamy za P. A. T.

„W czasopiśmie „Dziennik Wileński" w wydaniu niedzielnym z dn. 30 stycznia 1938 r. pojawił się artykuł p. t. „C. O. P.", podpisany przez autora Stanisława Cywińskiego.

Redaktorem i wydawcą wspomnianego czasopisma w owym czasie był oskarżony Aleksander Zwierzyński. Nakład numeru, zawierający ów artykuł uległ rozpowszechnieniu.

Autor artykułu wyraża myśl, iż powstanie w sercu Polski centralnego okręgu przemysłowego zadaje kłam „słowom pewnego kabotyna, który mawiał o Polsce, że jest jak obwarzanek: tylko to coś warte, co po brzegach, a w środku pustka". Słowo „kabotyn" oznacza lichego aktora, błazna wędrownego, komedianta. Użył tego słowa docent polonistyki. Określenie przeto autor wybrał celowo ze świadomością treści, wagi i znaczenia, obraźliwe, zmierzające do pomniejszenia i ośmieszenia tego, do którego odnosiło się to słowo. Oskarżony nie wskazuje wszakże nazwiska osoby znieważonej. Nie ma tyle odwagi; uderzenie jest zamaskowane, dokonane z zasadzki.

Kto jednakże chce wiedzieć kogo oskarżony „kabotynem" nazywa, ma ułatwione zadanie. W artykule bowiem oskarżony nie zawahał się w nawiasie dodać tuż po przytoczonych słowach o obwarzanku, iż cytata pochodzi ze strony 20-ej książki Wańkowicza, stanowiącej podstawę i natchnienie do jego artykułu, a na tejże stronie 20-ej czytamy ni mnie ni więcej: „Marszałek Piłsudski powiedział: Polska jak obwarzanek, to warta co po brzegach". Daremnie oskarżony usiłuje przekonać sąd, że pisząc swój artykuł zapomniał komu owe słowa o „obwarzunku" przypisane zostały przez Wańkowicza. Niepodobna uwierzyć w to, żeby oskarżony przytaczający z pamięci, jak to sąd bezpośrednio na rozprawie mógł się przekonać, nazwiska i myśli pisarzy, publicystów, mężów stanu, rodzimych i obcych, zapomniał tylko jedno nazwisko — nazwisko Piłsudskiego, — nazwisko, które na ziemiach polskich, jak długa i szeroka, usta już każdego dziecka ze czcią wymawiają. Cywiński, docent literatury na uniwersytecie, wskrzeszonym przez Piłsudskiego, publicysta i wychowawca polskiej młodzieży, właśnie tego nazwiska zapomniał, nic bardziej obłudnego, nic bardziej cynicznego. Sąd uznał, iż twierdzenie oskarżonego, że zapomniał o Piłsudskim, a miał na myśli Mackiewicza, jest wręcz kłamliwe i wykrętne, a ma tylko ten jeden skutek, że dosadnie, jakże ujemnie, charakteryzuje jego sylwetkę moralną człowieka małego, zdolnego do chwytu tchórzliwego, i wybiegu podstępnego.

W związku z tą sprawą nasuwa się natarczywe pytanie, dlaczego to Polak, rzecznik kultury polskiej, wysunięty na jedno z czołowych stanowisk w społeczeństwie, poważył się w ten sposób znieważyć imię największego Polaka, którego pamięć spowija sztandar chwały narodowej, którego prochom, spoczywającym w Panteonie, składają hołd swoi i obcy. Na pytanie to dał odpowiedź sam oskarżony w swym ostatnim słowie, który wspomniał, iż z natury swej jest krytycznie usposobiony do otaczającego go świata i wyraził przy tym myśl, że im większego kultu ktoś zażywa, tym silniej należy dążyć do odbrązowienia go. Właśnie tego zadania — pomniejszenia postaci wielkiego marszałka — podjął się oskarżony. To było jego intencją i pobudką działania. Zresztą sąd na podstawie analizy treści całego artykułu dochodzi do przekonania, iż oskarżony zmierzał do jednego celu — do odebrania narodowi wiary we własne siły, do wywołania zwątpienia co do swej i wodza narodu wartości.

Przystępując do oceny karno-prawnej czynu zarzucanego i przypisanego przez sąd oskarżonemu Cywińskiemu, sąd uznał, że czyn ten urzeczywistnił zarówno podmiotowe, jak i przedmiotowe znamiona przestępstwa, przewidzianego w artykule 152 k. k., karzącego tych, co ośmielili się publicznie lżyć i wyszydzać naród polski. Naród zaś, to nie tylko zespół jednostek mówiących jednym językiem. To zespół ludzi, złączonych krwią i duchem. Z tej krwi narodu polskiego i z tego ducha wyrósł Józef Piłsudski i będąc tego ducha najdoskonalszym wcieleniem, stał się królem duchem swego narodu, stał się jego miłością i wzorem, stał się symbolem. A imię jego w sercach Polaków na zawsze głęboko wyryte, tak ściśle z imieniem narodu zostało związane, że jakakolwiek bądź jego zniewaga dotyka cały naród polski, tego narodu jest wyzwaniem i obrazą. Sąd orzekający w danej sprawie podziela całkowicie stanowisko Sądu Najwyższego, który w orzeczeniu swym, zamieszczonym pod pozycją 63 urzędowego zbioru orzeczeń z r. 1938, głosi: „Zniewagę narodu lub państwa polskiego popełnić można nie tylko przez publiczne użycie słów bezpośrednio lżących lub wyszydzających naród lub państwo polskie, lecz także przez użycie wyrażeń lżących lub wyszydzających pierwszego marszałka Polski Józefa Piłsudskiego, twórcy i budowniczego państwa polskiego". Wyrażenia obelżywe o marszałku Piłsudskim....„w sposób pośredni również lżą i wyszydzają naród i państwo polskie, które Józefa Piłsudskiego czczą powszechnie jako symbol cnót narodu". Godzi się w tym miejscu zaznaczyć, iż uchwalenie przez ciała ustawodawcze ustawy o ochronie imienia Józefa Piłsudskiego, pierwszego marszałka Polski, bynajmniej nie wypełnia luki w polskim ustawodawstwie karnym. Czyny znieważające osobę marszałka Piłsudskiego były karane i przed uchwaleniem tej ustawy. Jedynym w rozumieniu sądu celem, do którego rzeczona ustawa zmierza, było wzmożenie dotychczasowej ochrony imienia pierwszego marszałka Polski, co wynika z wyraźnego brzmienia uzasadnienia do projektu ustawy.

Co się tyczy oskarżonego Zwierzyńskiego, to sąd nie mógł zająć czysto formalnego stanowiska i uznać go winnym, opierając się na tej jedynej tylko podstawie faktycznej, że inkryminowany artykuł pojawił się w czasopiśmie, którego redaktorem i wydawcą zarazem był Zwierzyński. Oceniając ten fakt w świetle zasad, wyrażonych w kodeksie karnym — a tej podstawy sąd w swojej ocenie czynu i rozważaniach nie mógł na chwilę opuścić — w szczególności w świetle zasady indywidualnej winy, w granicach zamiaru, jaki przypisać można domniemanemu sprawcy czynu przestępnego, to stwierdzić należy, że w myśl art. 13 i 14 paragr. 1 k. k. przestępstwa przewidzianego w art. 152 k. k. dopuścić się może ten tylko, kto świadomością swą i zamiarem obejmuje skutek przestępny swego działania i nastąpienia tego skutku wyraźnie pragnie, bądź przynajmniej możliwość jego przewiduje i na to się godzi. Przewód sądowy nie dostarczył dostatecznie przekonywujących dowodów, na których sąd mógłby ugruntować swe przekonanie, iż oskarżony Zwierzyński chciał znieważyć naród polski. Również brak jest jakichkolwiek danych, przemawiających za tym, iż tenże oskarżony, wyrażając swą zgodę na zamieszczenie w swym piśmie artykułu Cywińskiego, przewidział i godził się z tym, iż obraźliwy zwrot o autorze słów o „obwarzanku" odnosi się do osoby marszałka Piłsudskiego. Sąd stwierdza, iż aforyzm o „obwarzanku" i fakt, że autorem tego aforyzmu jest marszałek Piłsudski, nie dotarły jeszcze — przynajmniej do czasu pojawienia się art. Cywińskiego — do świadomości ogółu obywateli w tym stopniu, iżby okoliczność ta mogła uchodzić za własność ogółu, za notorium. Dowodem tego jest fakt milczenia przez 14 dni wszystkich tych, którym sprawa ta na sercu bądź w zakresie pieczy prawnej leżała. A jeśli tak, to Zwierzyńskiemu możnaby tylko wówczas przypisać winę umyślną w postaci zamiaru bezpośredniego lub ewentualnego, gdyby udowodnione zostało, że skądkolwiek powziął on wiadomość, czy od samego Cywińskiego, czy też przez przeczytanie książki Wańkowicza, że słowa o „obwarzanku" przypisywane są marszałkowi Piłsudskiemu. Dowodów tego rozprawa sądowa nie ujawniła. Dla braku zatem jakichkolwiek danych, przemawiających za urzeczywistnieniem podmiotowych znamion przestępstwa w czynie zarzucanym oskarżonemu Zwierzyńskiemu, należało go uniewinnić.

Przechodząc do wymiaru kary w stosunku do oskarżonego Cywińskiego, sąd zważył co następuje: Prawo do obrony czci przysługuje każdej jednostce, przysługiwać ono musi tym bardziej całemu narodowi. Wszelka przeto zniewaga spotkać się musi ze zdecydowaną i mocną w swym wyrazie reakcją.

Omówiony już poprzednio sposób dokonania przez oskarżonego czynu, dotknięcie nim najgłębszych uczuć narodu — są to te okoliczności, które mają dla wymiaru kary rozstrzygające znaczenie. Jeżeli ustawodawca w sankcji art. 152 k. k. przewidział górną granicę kary pozbawienia wolności w rozmiarze 3 lat, dla jakiegoś szczególnego wypadku, to czyż można sobie wyobrazić bardziej jaskrawy przykład naruszenia dobra chronionego tym przepisem i silniejszego napięcia złej woli? Zdaniem sądu, jeżeli każda kara a zatem i ta, jaka ma być odpłatą za czyn popełniony przez oskarżonego, zawierać musi w sobie dwa pierwiastki: 1) pierwiastek odwetu społecznego jako wyraz reakcji za naruszone dobro z punktu widzenia prewencji ogólnej, 2) pierwiastek poprawy sprawcy czynu z punktu widzenia prewencji szczególnej — to właśnie ta maksymalna kara w przekonaniu sądu będzie najsłuszniejszą w danym przypadku odpłatą, uwarunkowaną zarówno przesłankami przedmiotowymi, jak i podmiotowymi.

Niech wolno więc będzie użyć słów z uzasadnienia do projektu uchwalonej ustawy o ochronie czci marszałka: „Szczególnej ochrony prawnej wymaga, co szczególnym jest dobrem narodu".

*

Jak to już podaliśmy wczoraj, sąd odmówił zmiany środka prewencyjnego w stosunku do osk. Cywińskiego.

STATYSTYKA WYZNANIOWA I NARODOWOŚCIOWA POLSKI

(Z powodu listu Prezesa G.U.S., p. Szturm de Sztrema, ob. nr. 16).

I

ARTYKUŁ o stosunkach wyznaniowych i narodowościowych w Polsce drukowany w marcu rb. w „Myśli Narodowej", napisałem przed paru miesiącami. Nie był mi wówczas znany zeszyt 62, Serii C. wydawnictw G.U.S. pt. „Polska" (dane skrócone) poprostu dlatego, że jeszcze nie wyszedł z druku. Zeszyt ten ukazał się w grudniu ub. r. Na prowincję doszedł już w r, 1938.

1. Prezes G. U. S. p, Szturm de Sztrem w liście do redakcji „Myśli Narodowej" ma rację, iż tabela narodowościowa i wyznaniowa, na której brak skarżyłem się i dawniej w art. do „Myśli", w wydawnictwie „Polska" jest zamieszczona. Nie zmienia to faktu, iż ukazała się ona, jak niestety wiele innych opracowań spisu z r. 1831, dopiero obecnie — w 6 lat po spisie. Dotąd musieliśmy wszyscy posługiwać się albo zestawieniami przestarzałymi albo dochodzić do własnych zestawień metodą i drogą nie zawsze trafną.

2. P. prezes Szturm de Sztrem stwierdza, iż dodatkowego spisu dla G. Śląska i Wileńszczyzny nie było. P. prezes ma słuszność formalną· Spisu podobnego, jak spis z r. 1921 dla Polski, rząd dla dwu powyższych dzielnic istotnie nie przeprowadzał. Lukę tę uzupełniono drogą pośrednią. Pomijam prace prof. Romera i Wernfelda, obejmujące obliczenia dla całej Polski, Janickiego o Śląsku, K. Srokowskiego o ziemiach wschodnich i inne podobne, jako prace bez stempla oficjalnego. Główny Urząd Statystyczny, a więc instytucja oficjalna, lukę w spisie powszechnym musiał również wypełnić i istotnie wypełnił. Mam w ręku „Miesięcznik Statystyczny" z przedmową dra Józefa Buska, ówczesnego prezesa G. U. S., zawierającą cyfry. dotyczące Śląska i Wileńszczyzny oraz następny zeszyt, opracowany przez prof. L. Krzywickiego. Tak np. Obliczenia dla wileńszczyzny oparte były na danych spisowych, zebranych w r. 1919 przez b. Zarząd Cywilny Ziem Wschodnich, Śląsk Górny podano według spisu z r. 1910. Tak je też przyjmuje Rocznik Stat. z r. 1923.

Te dodatkowe opracowania spisowe nazwałem „spisem dodatkowym uzupełniającym". One to zastępowały nam wiadomości o tych dzielnicach niemal aż dotąd.

II

Korzystam ze sposobności, aby artykuł mój poprzedni uzupełnić cyframi ścisłymi, a nie przybliżonymi. Czerpię je z zeszytu „Polska". Trzeba, aby ta tak opóźniona publikacja doszła do wiadomości ogółu.

W r. 1931 na 20,670.051 rzymsko - katolików i ormiańsko - katolików deklarowało, iż ich językiem ojczystym jest:

dla 20,333.333	język	polski	co daje	98.3%
82.723	„	litewski	„	0,4%
118.470	„	niemiecki	„	0,6%
77.790	„	białoruski	„	0,4%
25.531	„	ruski lub ukrain	„	0,2%

Z 3.336.164 greko - katolików i wyznawców kościoła wschodniego podało jako swój język ojczysty:

487.034	język	polski	co daje	14,6%
1,676.763	„	ukraiński	„	50,3%
1,163.749	„	ruski	„	34,9%
2.303	„	białoruski	„	9,1%

Z 3,762.484 prawosławnych podało jako swój język ojczysty:

497.290	język	polski	co daje	13,2%
1,501.308	„	ukraiński	„	39,9%
38.754	„	ruski	„	1,0%
903,557	„	białoruski	„	24,0%
99.636	„	rosyjski	„	2,7%
21.672	„	czeski	„	0,6%
696.397	„	„tutejszy"	„	18,5%

Z 835.258 ewangelików podało jako swój język ojczysty:

218 993	język	polski	co daje	26,1%
598.994	„	niemiecki	„	71,0%

W szczególności podało język polski jako swój język ojczysty z kościoła ewangelicko-augsburskiego 31,1%, z kościoła ewangielicko - reformowanego 37,2%, z kościoła ewangelicko - unijnego 15,2%, z innych kościołów ewangelickich 31,2%.

Na 21,993.444 mieszkańców mówiących językiem polskim, złożyło się ostatecznie:

20,333.333	rzymsko- i ormiańsko-katolików
487.034	grecko- i wschodnio-katolików
497.290	prawosławnych
218.993	ewangelików
55.148	wyzn. różnych sekt chrześcijańskich
371.821	wyznawców rel. mojżeszowej
29.825	innych

Wiemy, że opóźnienia w publikacjach G. U. S. pochodzą z braku odpowiednich kredytów, a nie z winy G.U.S, Nie zmienia to faktu, iż praktyczne rezultaty spisu są w ten sposób w znacznej mierze marnowane.

STANISŁAW RYMAR

NAUKA I LITERATURA

Z ZA KULIS REWII

Maria Ukniewska, „Strachy". Warszawa — 1938. Tow. Wyd. „Rój".

AUTORKA, podobno tancerka i śpiewaczka rewjowa, zużytkowała zapewne autentyczne wspomnienia z początków swojej kariery scenicznej, ukazując oczom czytelnika zamknięty świat *ghetto* aktorskiego.

Jakże charakterystyczna dla naszych pisarzów jest ta ciekawość, wdzierająca się już nietyle w tajniki duszy co w zakamarki zawodowego życia. Przynajmniej u nas, w ciasnem podwórku literackim nurt zainteresowań nie drąży głębin instynktu, nie stara się wydostać na wolny przestwór z plątaniny sprzeczności moralnych, ale rozlewa płytką strugą rodzajowości.

Zamiast odnaleść człowieka wiecznego, brniemy w codzienności i powszedniości ultra-realistycznej narracji i reportażowego opisu. Nastawienie współczesnej powieści jest takie — jak żyje i co robi „prawdziwy" kelner, albo co zdziałał podczas długich lat „pracy" przemytnik pograniczny — lub wreszcie, jak to tam jest „naprawdę" z cnotą i niecnotą „girlasek"? Najogólniej biorąc istotną dla tego zagadnienia jest pasja poznania życia w samym jego rdzeniu, co niewątpliwie świadczy dodatnio o zdrowiu ale i o pierwotności naszych instynktów. Przytem ciekawość „rzeczy ostatecznych" to nie tylko wyższy szczebel duchowego rozwoju ale i późniejszy, bliższy rychłego końca etap w życiu jednostki i społeczeństw.

Z punktu widzenia t. zw. socjologii teatru książka p. Ukniewskiej stanowi przyczynek dla poznania tego zamkniętego środowiska. Wzruszająca jest historia małej girlsy, Teresy Sikorzanki, dziewczyny prostej i z gruntu uczciwej, choć obranej ze skrupułów. Kapitalne są sceny w garderobie „Szalejącego teatrzyku": w głębi duszy zawiść wzajemna tych dziewcząt, spychających z swej drogi każdą napotkaną przeszkodę — na twarzy maska życzliwej przyjaźni i serdeczna koleżeńskość; uprzywilejowane stanowisko „gwiazd" i solistów w szarym tłumie girsów — nie mówiąc już o pogardzanych statystkach — zacięta wreszcie i bezpardonowa walka o owe upragnione „solówki", a nad tem wszystkiem królujący niedostatek i nędza moralna, zepsucie zawodowe dopełniają obrazu.

Zgódźmy się z tem, że aktor z natury swego zajęcia realizuje w życiu jakąś prawieczną treść wewnętrzną, uczuć i instynktów, daleki od jednego, ściśle określonego systemu etycznego. Konieczność ustawicznego wczuwania się w coraz inne epoki i typy społeczne, w coraz różniejsze indywidua, wymaga, iż musi on wypracować w sobie osobliwą giętkość, któraby mu pozwoliła bez bólu przechodzić od jednego wcielenia do drugiego. Z tych samych względów wypływa pozaklasowy, więcej — aspołeczny charakter aktora, jednako zawsze, bez względu na epokę, czującego dystans od społeczeństwa, odległość tę pragnącego przytem utrzymać. Może zresztą, gdyby mu odjąć tę goljardowską odrębność i beztroskę, gdyby go zrutynizować i zbiurokratyzować, przestałby być źródłem twórczego niepokoju i artystycznego natchnienia. Co to znaczy aktor znormalizowany, „przydzielony" do jakiejś ekipy, obsługującej tyle a tyle rozrywkowych lokali, wiemy na przykładzie stosunków, wytworzonych na miejscowym gruncie przez T.K.T.T.

Autorka w trakcie opowieści na nutę: „Teresa robi karierę" — albo, jak małe girlsiątko staje się żoną potentata w tym świecie, wielkiego aktora Modeckiego ...i *notabene* na tym zakręcie zrywa ze sceną, przenosząc nad nią ognisko domowe i dziecko—wtrąca epizody, w których znalazłoby się dość materiału i napięć wewnętrznych na osobne nowele. Jedną z nich możnaby zatytułować: „Historia jakich wiele", opowiada bowiem dzieje tancerki Linki, uwiedzionej przez „hochstaplera" *qui pro quo*'wskiego, żyda Fensterglasa. Linka, szantażowana przez takiego oto reprezentanta rasowej przestępczości, popełnia samobójstwo, a Fensterglas wypływa na szersze wody dyrekcji teatrzyku, ażeby w stosownej chwili sprzeniewierzyć cały kapitał spółki i zwiać zagranicę. Oczywiście „Złota kurtyna" bankrutuje — plemię Fensterglasów i nadal niepodzielnie trzyma w ręku nietylko lekki teatr rewjowy ale także rodzimą produkcję filmową. Przyjaźń Teresy i Linki stanowi poetyczną wkładkę w tym brutalnym epizodzie.

Druga jakby nowela o zmarnowanym przez alkohol tancerzu Dubence, postaci na wzór średniowiecznego wiły, z niesamowitą ciekawością do kuglarstwa — co staje się przyczyną jego śmierci — pełna jest uroku dziwności, wygląda na pomysł-ornament, igraszkę bezinteresownego marzenia, i tem nas frapuje.

Autentyzm „Strachów" nie ma nic w sobie z fotografii, zwłaszcza, gdy chodzi o postaci, co do których możnaby się pokusić o ustalenie głośnych dzisiaj lub niegdyś imion aktorskich. Autorka nie zapomina, że sztuka polega na syntezie. Przytem świat, w który nas wprowadza, krąg „strachów" i czarów, zrodzonych z fluidów sceny, wyżej stoi w hierarchii doznań niż przeżycia towarzyszące „występom" na gładkiej posadzce „rewirów" restauracyjnych. Kulisy teatralne, w ścisłem tego słowa znaczeniu, więcej budzą zrozumiałej ciekawości niż t. zw. „kulisy" przeróżnych dziedzin życia, rozumiane jako nieodzowna, ta brzydsza strona medalu, niedyskretnie czytelnikowi książki ukazana.

ST. J.

ŚMIERĆ ŻÓŁKIEWSKIEGO

PAMIĘTNIK Kresowy. Zeszyt III. Wilhelm Kulikowski. (W. Drogomir) Śmierć Żółkiewskiego (Noc z 6 na 7 października 1620 roku). Wydanie drugie. Warszawa 1937, str. 54.

Wydawcy „Pamiętnika Kresowego" postanowili wydobyć na światło dzienne zapomnianą dziś pracę historyczną o Żółkiewskim pióra nieżyjącego od lat paru, wybitnego działacza narodowego na Ukrainie i publicysty, Wilhelma Kulikowskiego.

Mniej znany w najmłodszem pokoleniu, udzielał się przecież czasami Wilhelm Kulikowski, już to np. wygłaszając w zamkniętem kółku długo potem wspominany odczyt o etyce rycerskiej, już myśląc o rozszerzeniu go w większą całość i wydrukowaniu w piśmie dla młodzieży harcerskiej. U tych, co go słyszeli, pozostawił długo niestarte wspomnienie żywego, głoszonego z absolutną wiarą słowa. Wrażenie to niewyblakło docna i pozwoliło się odnaleźć w pełnym retorycznej siły i gorącego uczucia, obszernym szkicu o hetmanie Żółkiewskim, drukowanym po raz pierwszy w październiku 1907 r. w odcinku „Dziennika Kijowskiego" p. t, „Noc z 6 na 7 października (23—24 września) 1620 roku" podpisanym pseudonimem herbowym autora: „Drogomir"; w następnym roku ukazała się nawet osobna odbitka nakładem „Drukarni Polskiej" w Kijowie.

Dziełko W. Kulikowskiego nie jest traktatem umiejętnym o wojskowych przyczynach i skutkach bitwy i klęski pod Cecorą, jakkolwiek opiera się na znanym materiale historycznym. Ma ono raczej na celu plastyczne, przemawiające do wyobraźni czytelnika przedstawienie psychologii bohatera. Dlatego sięgnął autor do mało naogół spopularyzowanego zasobu archiwalnego listów Wielkiego Hetmana i Kanclerza do Króla i do żony. Postać Żółkiewskiego — i w tem tkwi, tak konieczny w owym czasie, dydaktyzm autora — ukazana została na tle wielkiego przełomu dziejowego, schyłku dawnej świetności Rzeczypospolitej w monumentalnych zarysach w kontraście z małością społeczeństwa.

Sromotną klęskę przypisuje autor zasadniczym, do dziś nie wyplenionym z polskiej duszy zbiorowej wadom narodowym. Generalizuje je i stara się, w oparciu o moralistykę i mistykę skargowską, ukazać owo „rozdzielenie serc" jako „bitwę ducha światła z duchem ciemności, toczoną jedno-

cześnie z bitwą na ziemi wśród tłumów ludzkich, gdzieś w przestworzu, niewidzialną". W tym boju rola Hetmana nie ogranicza się do działań wojennych — zadanie jego było o wiele cięższe i nawet przerastało przeciętne siły jednostki, wymagając heroicznych, nadprzyrodzonych sił duchowych, potrzebnych dla utrzymania przewodnictwa nad upadłą na duchu ludzką masą.

Świętość i hart tego, jakby powiedział Norwid „szlachcica Chrystusowego", jasno czującego potrzebę dania straszliwego przykładu współczesnym, jest nieomal jedyną na przestrzeni naszej historii. Analogii szukać by można chyba w komparacji z Romualdem Trauguttem.

Zapomniany przez króla i społeczeństwo, rzucony z garstką na granicy państwa, oponował się rycerz niezłomny przeciw tysiącom pogan — i dopiął jednak swego: własnem ciałem olbrzyma zawalił drogę do środka Rzeczypospolitej. Tak jak w dodatku do testamentu proroczo pisał: „A jeżeliby w Wołoszech, albo gdzie zagranicą śmierć mi Pan Bóg posłał, tamże pogrześć grzeszne ciało moje, a na tem miejscu wysoką mogiłę usypać. Nie dla ambicji jakiej tak mieć chcę, ale żeby grób mój był kopcem granicznym, żeby wiek potomny, szanując pamięć moją, wzbudzał się do nowych prac i zasług".

W przedśmiertnym liście do żony zawarł testament dla polskiego rycerstwa: „Tak było i tak będzie, aby prawość i sława narodu naszego nie zginęła. Pan Bóg Wszechmocny dopuszcza utrapienia, by ciało w wojnach hartować, a umysł zaprawiać do dzieł rycerskich. Tegoż utrapienia nie koniec i nie koniec łaski Pana Boga świętej, która nas wszędy utrzymywała i nieprzyjaciołom tamę w bitwach stawiać rada była". A w ostatniej swej woli następujący daje wyraz niemilknącej gotowości serca: „Jednak, jeślibym w potrzebie umarł, miasto aksamitu czarnego, który znaczy żałobę, niech krwi dla Rzeczypospolitej, a to nie dla chluby żadnej, lecz dla pamiątki i dla pobudki drugich do cnoty trumna pokryta będzie szkarłatem, na znak wylania i nieszanowania się dla Ojczyzny".

Piękną polszczyzną pisana, zalecająca się oryginalną koncepcją historycznej postaci, książeczka o Żółkiewskim w pełni zasługuje na pilne przeczytanie.

(St. J.)

RUCH WYDAWNICZY

Lwów, a z nim i Polska cała, niedawno niepowetowaną poniosła stratę z powodu śmierci naprzód przedziwnego poety i filologa E. Porębowicza, a potem filozofa K. Twardowskiego. Jedno ich łączyło: umiłowanie jasności myśli, tendencja, by każdemu słowu przez nas wypowiadanemu odpowiadało ściśle dające się wyrazić przeżycie. Od jasności w uporządkowanych myślach zależy jasne, zdecydowane postępowanie, od niego zaś charakter życia. Ich praca nad nami, studentami lwowskiego uniwersytetu, błogosławione wydawała skutki, to też — wdzięczność naszą czujemy i zachowamy przez całe życie.

Mimowoli myśli te nasunęły mi się przy czytaniu świeżo w Poznaniu u Dippla wydanego tomiku wierszy Nory Odlanickiej: Uwiedzione Źródła 1938. nlb. 16. Odrazu muszę powiedzieć, że Odlanicka jest materiałem na poetkę choćby z tego powodu, iż potrafi na świat patrzeć ze zdziwieniem, jak gdyby go widziała po raz pierwszy. Ale tomik jej budzi też i zastrzeżenia poważne. Stan jej przeżyć nosi charakter raczej mgławicowego chaosu niż uporządkowanego kosmosu... Wyczuwamy natłok wrażeń zwłaszcza wzrokowych i słuchowych, ale myśl przez nie się przedzierająca daleka od jasnego sprecyzowania. Często z trudem trzeba ją wyłuskiwać z gąszczu słów, ale czy zawsze warto?

Poetka posługuje się asonansami, chociaż pisze i wiersze tradycyjne. Niektóre wiersze („Metropolia", „Niosący girlandy") z powodu arytmii sprawiają wrażenie amorficzności. Ładna jest „Groteska". Wprawdzie mamy tu obraz zniekształconej rzeczywistości („Gospodyni grożą zdjęta niesie własne serce w szklance" i t. p.) ale nastrój dziwności i niezwykłości utrzymany od początku do końca, nastrój balladowy. Tematem: przestrach całej rodziny w czasie burzy. Udany jest wiersz p. t. „Świty" — pesymistyczny skrót dziejów człowieka. Gorący erotyk („Paw"); świat i wszechświat zobaczy autorka od strony ładu i z rytmu się wywodzący („Wzór"). Lubuje się w wyobrażeniach krwi. Znajdzie się i błąd gramatyczny („by nową nie wywieść zeń nić"). W cyklu wierszy „Chwała życia" daje autorka apoteozę korsarzy, jak gdyby np. Kapitana Browna z „Lorda Jima" Korzeniowskiego, pochwałę „lewego" życia korsarzy.

Wiersze cechuje śmiała metaforyczność, nie podyktowana atoli koniecznością przeżyć, ale na dowolnych, wyrazowych oparta skojarzeniach. Trudno by było coś powiedzieć o poglądzie i postawie wobec świata. Postawy religijnej też tu się nie wyczuwa, zato niewyraźna sympatia do elementów odśrodkowych. Świat przedstawia się jej raczej jeszcze jako chaos niż kosmos, duszy swojej w nim jeszcze umiejscowić nie potrafi. Naogół jednak ma poczucie wyrazu i obrazu, a wyobraźnię szczęśliwą. Zadatek na poetkę jest, tylko brak w niej jeszcze silnych przeżyć.

Grodzisk Poznański (J. Ś.)

Kazimiera Alberti, „Więcierz w głębinie", Warszawa, 1937. F. Hoesicka.

Kazimiera Alberti jest jednym z wybitniejszych talentów kobiecych naszej współczesnej poezji. Wydała już 5 zbiorów poezji i 3 powieści, przygotowuje do druku powieść p. t. „Mężczyźni muszą jeść" i nowy tom wierszy „Uśmiechy przygodne".

„Więcierz w głębinie" dowodzi rozwoju talentu (zwłaszcza w zestawieniu z poprzednio wydanym tomem p. t. „Usta Italii"), i przypływu energii literackiej. Najlepsze są wiersze liryczno-refleksyjne („Moja siła", „Drzeworyt", „Sztandar„). Cykl „Czerwona wiosna" sygnalizuje zwekslowanie ideowe na „lewy tor" pod wpływem liberalnej i marksizującej grupy „Skamandra" i „Wiadomości Literackich". Na tym zakręcie talent poetki słabnie. Myśl rozłazi się w koncepcjach płytkiego humanitaryzmu i pacyfizmu.

Poeci zawsze byli wrażliwi na nędzę i cierpienie rzeszy ludzkiej, a współczucie z tą rzeszą nierzadko bywało impulsem do stwarzania arcydzieł literatury. Trzeba jednak pamiętać, że arcydzieła literatury zawsze były arcydziełami myśli, manifestacją rozumu poety, który nie pisał, co mu ślina na język przynosiła, tylko stwarzał głęboką koncepcję bytu, czy to na podstawie historii, czy też metafizyki religijnej.

Ta perspektywa naświetla „cierpiętnicze" wiersze Alberti. Pisane one były niewątpliwie pośpiesznie. tchną pewnem podnieceniem, i — niebywałą powierzchownością problematyki. Aż ciarki człowieka przechodzą, gdy czyta „o złej i dobrej ręce człowieka" i obserwuje te obrazki, byle tylko, że nanizane na rytm wiersza, ale pozbierane chaotycznie, bez ładu i składu artystycznego, niby z pretensją do prostoty, ale z nikłym poczuciem wartości słowa.

Znacznie ładniejsze są utwory o miesiącach, ułożone w cykl „Więcierz w głębinie". Uczucie poetki łączy się tutaj z praźródłem istnienia, z ziemią. Sympatyczne zżycie się z przemianami przyrody, humor, rozmach i wdzięk — oto cechy tych wierszy, niewątpliwie świadczące, że kiedy je pisała, autorka była w locie artystycznym, była w swoim żywiole.

Również głębsze i szlachetniejsze pokłady uczucia wydobywa z duszy Alberti świat jej młodości, jej bliższa ojczyzna: Lwów. Te wiersze mają dziwną, cudowną świeżość i prostotę. Godne są stanąć obok najbardziej natchnionych heroizmem i polskością Lwowa utworów Maryli Wolskiej.

(T. D.)

NOWE KSIĄŻKI

Mosdorf Jan. Wczoraj i Jutro. Część II. Warszawa, 1938. Str. 269.

Krzesiński Andrzej dr. Badania nad kulturą Dalekiego Wschodu na tle podróży dokoła świata. Warszawa, 1938, Str. 38.

Marek Niedowiarek. Rozwiązanie sprawy żydowskiej w Polsce. Rozmowy z politykami. Warszawa, 1938. Str. 32.

Rostworowski Karol. Pisma. T, I. (Judasz. Kaligula. Miłosierdzie). Tom II (Niespodzianka. Przeprowadzka. U mety). Warsz. 1938. F. Hoesick.

Piętak Stanisław. Młodość Jasia Kunefała. Powieść. Warsz. 1938. F. Hoesick.

Łukaszewicz Stan. Głód niezaspokojony. Powieść. Warsz. 1938. F. Hoesick.

Pobóg Stan. Urzeczeni. Powieść. Warsz. 1938. F. Hoesick.

Czekańska-Heymanowa Róża. Maria Kalerges. Warsz. 1937. F. Hoesick.

Janowski-Strzemię Jerzy. Karmazyny i żuliki. Warsz. 1938. F. Hoesick.

Kochanowski J. K. Humanizm i człowiek. Spostrzeżenia i drogowskazy. Warsz. 1937. F. Hoesick. Str. 341.

Czego nauczył nas kryzys? Sprawozdanie Międz. Biura Pracy z XXIII konferencji. Warszawa 1937. F. Hoesick. Str. 103.

Tarnawski Apolinary dr. O własnościach klimatu Kosowskiego dla produkcji szlachetnych owoców oraz znaczenie Kosowa jako uzdrowiska. Warsz. 1938. M. Arct.

Materiały Wydziału Opieki Społecznej i Zdrowia m. st. Warszawy. Pod red. J. Starczewskiego i dr. J. Konopnickiego. Bibl. Wydz. I. VI. Warsz. 1937. Str. 306.

Konflikt chińsko-japoński z katolickiego punktu widzenia. Warsz. 1938. Str. 29. Problemy Dal. Wschodu III.

Orzeszkowa Eliza. Pisma t. XII. Niziny. Warsz. 1938. Geb. i Wolf.

Orzeszkowa Eliza. Listy. Tom II. Do literatów i ludzi nauki. Cz. I. Warsz. 1938. Tow. im. El. Orzeszkowej. Str. 346.

Z TEATRU

„ASMODEUSZ“ MAURIACA

W TEATRZE MAŁYM

„ASMODEUSZ” jest debiutem komediowym Franciszka Mauriaca. Twórczość tego autora płynie nakształt rzeki o jednolitym głównym nurcie, polega na rozwijaniu tych samych zasadniczych pojęć o duszach współczesnych ludzi. Zmienia się obsada aktorów jego komedii ludzkiej (chociaż nie całkowicie, Mauriac nieraz w różnych powieściach wprowadza te same osoby pod temi samemi nazwiskami), zmienia się pomysł powieściowy, nowe są sytuacje i konflikty, nowe odsłaniają się strony stosunków ludzkich, ale główne idee Mauriaca nie uległy dotąd przeobrażeniu. Mauriac wychował się w środowisku burżuazji francuskiej, w tej Francji, w której silniej bodaj, niż w jakimkolwiek innym narodzie Europy, zapanował materialistyczny pogląd na świat, polegający na bezwzględnej walce o pieniądz i zamienianiu pieniądza na użycie.

Mauriac widzi w przeciętnym człowieku dwa najsilniejsze instynkty: głód i miłość. Pragnienie posiadania dóbr gospodarczych i żądza miłosna. Z tych dwóch namiętności, przejawiających się w każdym nieomal kroku i słowie większości bohaterów Mauriaca, z tych instynków zwierzęcych, które rządzą wciąż życiem ludzi, rozwinęła się, a w każdym razie przesiąkła niemi cała nasza kultura. Postawę jednostki i szyki społeczne zamącił i pokrzyżował do reszty instynkt władzy. Wystarczy takie trzy żmije wsadzić w pierś człowieka, ażeby powstało piekielne kłębowisko. Ciekawa rzecz, jak często ludzie Mauriaca posługują się szantażem. Możnaby powiedzieć lapidarnie, że jeśli u Sienkiewicza rządzi honor, u Żeromskiego obowiązek, u Dostojewskiego swoisty fatalizm, to u Mauriaca nader częstą formą akcji jest pokusa i szantaż.

Patrząc na życie współczesne dziwi się katolicki Mauriac gospodarce Boskiej. Przeżywa nawet chwile śmiertelnego przerażenia. Są ludzie, czytamy w „Czarnych aniołach“, którzy już tutaj, na ziemi, popadli w moc szatana... Przeważa w życiu tak zwany ateizm biologiczny; ludzie w pełni sił życiowych łaski nie chcą i nie mają jej. Myśl o Bogu pojawia się conajwyżej jako refleks, oświetlający żądzę i grzech, jako wątpliwość, zabierająca resztę spokoju i sił w niepowodzeniach życiowych. Stąd nienawiść większości społeczeństwa francuskiego do księży.

Bogaty jest świat Mauriaca, sugestywny i niepokojący. Naszkicowaliśmy tutaj tylko pewne podstawowe jego dążności.

Katolicko-pesymistyczna koncepcja życiowa, jaką wytworzył sobie Mauriac (widząc wielkie skutki grzechu pierworodnego i przemożne działanie szatana) — może być źródłem dramatyczności, podstawą utworu scenicznego. Wszelako „Asmodeusz”, jeśli tak można porównać, jest komedią znacznie gorszą od najlepszych powieści tegoż autora. Nie odrazu udało mu się opanować technikę dramatyczną, tak bardzo różną od powieściowej.

Ten demonizm, który taką grozą przejmuje zwykle czytelników powieści Mauriaca, tutaj, mimo widocznych usiłowań reżyserii, jest, z winy przeważnie autora, niekonsekwentny i niepoważny, gołosłowny, nieuzasadniony faktami. Pan Conture, który właśnie ma być owym biblijnym szatanem-Asmodeuszem, specjalistą od grzesznej miłości, bez poważniejszej potrzeby np. budzi niepokój sumienia w Emanueli i w Jerzym. Argumenty, jakich przy tym używa, budzą wesołość w teatrze.

Dlaczego Jerzy tak łatwo dał mu się uwikłać i przyrzekł, że wyjedzie? Dlaczego w chwilę potem zapomniał o przyrzeczeniu i oświadczył, że nie wyjeżdża? Publiczność cieszy się z takiego obrotu sprawy, ale coś tu szwankuje. Dziwny to jest — dwudziestoletni, ale nad wiek rozwinięty Anglik — dyplomata, który tak mało wykazuje charakteru i zmysłu dyplomatycznego. Dziwny to jest szatan, który tak łatwo opanowuje dusze i tak szybko je traci.

Zasadniczy konflikt jest słaby. Conture'owi nie trudno było wygrać walkę z Marceliną — o Marcelinę. Przeciwko sobie miał tylko miłość 40-letniej kobiety do 20-letniego chłopca. Ale ten chłopiec zakochał się w Emanueli i obroniłby się sam przed jej matką, na co wskazywałaby scena po polowaniu na gołębie. Brak wzajemności w uczuciu Marceliny, jej godność osobista, jej macierzyńska miłość do córki — te atuty same grały na korzyść Conture'a. Rywalizacja matki z córką? Świadomego współzawodnictwa nie było; Emanuela nie wiedziała o niczem. Obiektywnie zaś biorąc, szanse były b. nierówne. Układ sił mógł doprowadzić tylko, gdyby matkę zaślepiła namiętność, do śmiesznych, bezsilnych aktów zazdrości. Walka tragiczna w duszy Marceliny? Nie miała kobieta swobodnego wyboru; poprostu cierpiała z zawodu miłosnego i koniec.

Odsłony przeważnie nie mają *pointes*, zakończenie całości także niebardzo wzrusza. Najmocniejsze są dialogi między Marceliną i Conture; oni się szamocą we wzajemnym ciążeniu i odpychaniu; jest to stosunek głęboko dramatyczny. Pozatem jest w komedii nieco banalnych, „chwytów“.

Marcelinę grała Maria Przybyłko-Potocka, niezrównana w wyrażaniu dumy, pogardy, cierpienia. Świątobliwą panienkę Emanuelę odtworzyła z należytą lekkością i wdziękiem Jadwiga Kurylukówna. Z roli Mademoiselle wywiązała się solidnie Maria Żabczyńska, chroniąc się, co nie było łatwem, przed wielodramatycznem rozpuszczeniem języka. Jan Bonecki niezupełnie nadaje się na rolę Błażeja Conture. Jakże, u diabła, myślimy sobie, taki szatan mógł mieć tyle wpływu na ludzi? Przecież to jest podtatusiały mantyka; gdzież jest siła, sugestywność, demoniczność Błażeja Conture, gdzie jego łotrostwo i urok uwodzicielski?

Kazimierz Wilamowski był Jerzym Faningiem; twarz ma nieco za poważną, jak na 20-latka, ale to widać raczej zbliska; do całej publiczności przemawia jego werwa i młodzieńczy głos.

Reżyseria M. Przybyłko-Potockiej. Dekoracje St. Śliwińskiego.

Komedię przełożył Kazimierz Wierzyński.

T. D.

DROGI PROPAGANDY WYWROTOWEJ

Coraz częściej przedostają się do Europy wiadomości o istotnej roli Meksyku. Fala bolszewizmu, zalewająca Amerykę Łacińską, płynie z Meksyku. Tu jest bowiem jawna kuźnia wszelkich idei wywrotowych, zmierzających przedewszystkiem do tego, aby wywrócić dotychczasowy porządek rzeczy, oparty na kulturze i cywilizacji chrześcijańskiej. Reżyseria tej roboty bolszewizacyjnej spoczywa w rękach masonerii Stanow Zjednoczonych Ameryki Północnej przy cichem ale zręcznem i potężnem poparciu Waszyngtonu. Ta działalność, uparta i konsekwentna, zmasonizowanych sekciarsko - protestanckich Stanów Zjednoczonych, zmierza nietylko do opanowania polityczno-gospodarczego Stanów Ameryki Łacińckiej, ale jest także, albo jest przedewszystkiem wymierzona w ducha katolickiego. Z Meksyku idzie zarzewie socjalizmu, rewolucji, bezbożnictwa, komunizmu i wiele ieszcze innych prądów rozkładowych. Krwawy Calles, który objął rządy w Meksyku w r. 1934, był owocem ingerencji Stanów Zjednoczonych Am. P. w sprawy meksykańskie.

Naddyktaturą w Meksyku jest „Crom" czyli krajowy związek robotników meksykańskich. Przez szereg lat po zainstalowaniu się Callesa mózgiem „Cromu" był dr. Rettinger, wprawdzie z Krakowa, ale całkowicie zanglikanizowany, ożeniony z Angielką i jako członek Labour Party wydelegowany do Meksyku na gościnne występy, Po studiach meksykańskich dr. Rettinger wyjechał na podobne studia do Chin... Pod koniec roku 1927 był także i w Pelsce....

Z Meksyku rozchodzą się bakcyle rozkładu na Amerykę Łacińską, Amerykę katolicką. Kierownictwo tej akcji rozkładowej spoczywa, jak ujawniono, w rękach sztabu, znajdującego się w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Czy się to dzieje w interesie polityczno - gospodarczym U. S. A. czy też w interesie czarnej mafii żydowskiej, która w myśl protokułu Mędrców Syjonu zmierza do opanowania świata, na razie dociec trudno. Wystarczy wszakże zwrócić uwagę na pewne fakty.

A więc musimy pamiętać o tem, że Kahał jest żydowskiem przedstawicielstwem urzędowem. A powtóre, że nowojorski Kahał jest największym i najpotężniejszym związkiem żydowskim na świecie. W tem mieście — jak stwierdzano w „Dearborn Independent" — znajduje się centrum wszechświatowej władzy żydowskiej. A według tej samej publikacji Kahał nowojorski ma ważne znaczenie dla Amerykanów z dwóch względów: jest on nietylko rzeczywistym i kompletnym przykładem rządu w rządzie, w łonie największego miasta amerykańskiego, lecz stanowiąc komitet wykonawczy, wydział XII Amerykańskiego Komitetu Żydowskiego, — szerzy filosemicką i antychrześcijańską propagandę i wywiera nacisk dla zwalczania niektórych idei amerykańskich. Znaczy to, że rząd żydowski w Nowym Jorku stanowi istotną część rządu żydowskiego w Stanach Zjednoczonych.... Kahał jest to żydowska forma rządu w rozproszeniu. W Stanach Zjednoczonych Am. P. Kahał nowojorski jest więc Nadrządem. Ale w Stanach Zjednoczonych potężny wpływ duchowy wywierają także różne sekty protestanckie, a wiemy, że protestantyzm i jego wszelkie odmiany, to kryptojudaizm w chrystianizmie. Wielki wpływ wywiera również masoneria. Protestancka YMCA i Rotary cluby to widome, jawne instytucje tych dwu prądów, zmierzających do całkowitego zawładnięcia życiem duchowem Amerykanina. Ale są one zarazem ekspozyturami ducha protestancko-masońskiego.

I tak się dziwnie składa, że np. prezydent Wilsen był pionkiem w rękach Barucha, przedstawiciela Guggenheimów, żydowskich królów miedzi. Doradcą prezydenta był rabin St. Wise i pułk. Mandell House.

Prezydent Rosevelt jest wielkim reformatorem Ameryki. Zaraz na początku swej działalności powołał ciało doradcze, tzw. trust mózgów. Jednym z członków tego trustu mózgów został Rexford G. Tugwell, prof. Columbia University, pracujący w ministerstwie rolnictwa, zawiany komunizmem, jak i jego przyjaciel Walter Lippman, niezwykle uzdolniony publicysta, a przytem żyd, który oddał swe pióro na usługi reform prezydenta Rosevelta. Niezwykle użyteczne usługi prezydentowi Roseveltowi oddaje także J. P. Warburg, żyd urodzony w Niemczech, syn słynnego bankiera żydowsko - niemiecko - amerykańskiego, naturalizowanego w r. 1911 w Ameryce.

Przed wojną światową w rękach Warburga ojca znajdował się największy pakiet akcji „Hamburg-Amerika-Line" i „Lloyda" niemieckiego. Warburgowie są nietylko skuzynowani, ale i finansowo stowarzyszeni z Loebem i Schiffem, bankierami żydowsko - niemiecko - amerykańskiemi, którzy finansowali rewolucję bolszewicką w Rosji. Podczas wojny światowej jeden z Warburgów udzielał w Sztockholmie znacznych funduszów Trockiemu. Warburgowie są skoligaceni z Gwinerem, żydem, wieloletnim dyrektorem „Deutsche Bank" w Berlinie, który przesyłał via Sztockholm pieniądze komisarzom bolszewickim. Pod koniec wojny światowej Warburgowie uruchomili swoje wpływy we wszystkich stolicach dla zorganizowania pokoju w interesie Niemiec.

Warburg młodszy, mający obecnie około lat czterdziestu, jest jednym z bardziej utalentowanych doradców prez. Roosevelta, wielkiego reformatora z gruntu przerabiającego ustrój Stanów Zjednoczonych. Warburg działa w cieniu prezydenta, rady jego otoczone są nietylko dyskrecją, ale i woalem tajemnicy.

Ale po czynach ich poznacie je, jak mówi Pismo.

Oto w marcu r. b. ambasador sowiecki Al. Troyanowsky przemawiał do milionów słuchaczy sieci radiowej „National Broadcasting Company" w New-Yorku. Radio amerykańskie udzieliło głosu sowieckiemu ambasadorowi, który usprawiedliwiał masowe egzekucje, jakie się ocbywają w Sowietach! Rzecz wprost nie do wiary.

Z jednej strony z Meksyku jest wywrotowa robota, mająca na celu zdezorganizowanie katolickiej Ameryki Łacińskiej. Reżyseria tej akcji znajduje w Waszyngtonie. A teraz znów przez radjo amerykańskie przemawia ambasador sowiecki, usprawiedliwiając publicznie te masowe kaźnie, odbywające się w Rosji, kaźnie, które przytłaczają wprost swem okrucieństwem i koszmarnością.

A spójrzmy na mapę Europy. Ofensywa bezbożnictwa, katolicyzm w defesywie. Jest się nad czem zastanowić.

QUIS

NA MARGINESIE

Najlepszą gisernią posągów jest opinia publiczna. Inne bronzy są nietrwałe.

*

— Czem sobie wytłumaczyć, że my tak drażliwi na punkcie symboliki Rzeczypospolitej, obojętni bywamy na to, jak są załatwiane interesy realne Rzeczypospolitej? Weźmy choćby dzieje jedenastu lat Wołynia.

— Czem się tłumaczy? Zakłamaniem.

*

— Nasi zacofani demokraci noszą się po parysku, często powtarzają, że Polacy są francuzami północy.

— Szkoda, że im to przyszło do głowy z racji Bluma. Moda à la Karbulkelsztein.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.